



ROMUALD WERNIK

**W ZDOŁBUNOWIE
ZAKWITŁY
KACZEŃCE**

A faint, light blue watermark of a coat of arms is visible behind the title text. It features a central shield with a crown on top, flanked by two figures or animals, and a banner or ribbon at the bottom.

Romuald Wernik

**W Zdołbunowie
zakwitły kaczeńce**

BIBLIOTEKA „WOŁANIA Z WOŁYNIA”

T. 26

Romuald Wernik

**W Zdołbunowie
zakwitły kaczeńce**



„WOŁANIE Z WOŁYNIA”
BIAŁY DUNAJEC–OSTRÓG 2001

© Copyright by Romuald Wernik, Londyn 1986–2001
© Copyright by Ośrodek „Wołanie z Wołynia”, Biały Dunajec 2001

Przygotowanie do druku i skład
Romuald Wernik

Redaktor
ks. Witold Józef Kowalów

Korekta
Łucja Zalewska

ISBN 83-88863-01-0

Wydanie II

Wydanie I – Londyn 1986

Ośrodek „Wołanie z Wołynia”
skrytka pocztowa 9
34-520 Poronin, Polska

~~~~~  
“Воляння з Волині”  
вул. Кардашевича, 1  
35800 м. Остріг, Рівненська обл.  
Україна

DRUKARNIA „AKCYDENSOWA”  
Andrzej Dorosz – Kraków, ul. Balicka 7 – tel. 636-96-66

*Matce poświęcam*



## WSTĘP DO II WYDANIA

Ta skromna książeczka powstała w Anglii z tęsknot za miastem lat dziecińczych i urywków wspomnień, które tworzyły tło bajek opowiadanych moim – już urodzonym w Londynie – synom „do poduszki”. Dla nich właściwie ją napisałem, by gdy zechcą po latach książeczkę przeczytać, przypomnieli skąd pochodzi ich ojciec. Maszynopis wspomnień przechodził z rąk do rąk i trafił od rodziny do znajomych Zdołbunowiaków, których mała grupka była tu po wojnie. Spotykałem w Londynie Biedakowskiego [tyle imion wypadło już mi z pamięci!], garbuska i harcmistrza czynnego w zdołbunowskim harcerstwie, którego znało całe miasto; osadnika spod Zdołbunowa – Zimnego, jego córkę i syna który chodził do gimnazjum Kupieckiego w Równem i był w tej samej klasie w której uczył się młodszy brat mojego ojca – Mikołaj. Kilku innych. Niektórych spotkałem pierwszy raz po ewakuacji Armii Polskiej w ZSSR do Persji i Iraku, jeszcze na drodze wojennej i cieszyłem się, że przeżyli zsyłkę na Syberię. W Iraku spotkałem Nikła, który mieszkał z rodziną w pobliżu cementowni i chodził ze mną do nowoczesnej szkoły Królowej Jadwigi, którą wybudowano obok nowo założonego parku. Uczyla się w niej też jego siostra w której na zabój się kochałem. W Egipcie spotkałem Dankę Brzostowską, córkę kapitana Brzostowskiego, który w zimie przyjeżdżał do kościoła saniami zaprzężonymi w parę pięknych koni. Zazdrościłem jej jazdy tymi saniami i wypielęgnowanych koni. Jeszcze w Palestynie spotkałem

państwa Całów, którzy uczyli w gimnazjum zdołbunowskim, a na Ziemi Świętej w Junackiej Szkole Kadetów, stworzonej przez generała W. Andersa dla sierot i półsierot uratowanych z nędzy sowieckiej Rosji. Oboje już zmarli w Anglii. W tej szkole w Palestynie kolegowiałem z Zbyszkim Gołębiem, którego znałem jeszcze ze zdołbunowskiej szkoły powszechnej.

To Zdołbunowiacy zaczęli mnie namawiać bym te skromne wspomnienia wydał drukiem o czym wtedy jeszcze nie myślałem. Trafiły na półki emigracyjnych księgarni w 1986 roku. Egzemplarze wysłane do Polski, zostały zwrócone przez cenzurę. Powodzenie książeczki przerosło moje oczekiwania. Prośli o nią Zdołbunowiacy z Francji, Niemiec, Stanów Zjednoczonych, a nawet dalekiej Australii. Wtedy dowiedziałem się jak wielu z nas los rozrzucił po świecie i cieszyłem się z każdego kontaktu, bo świadczył, że jeszcze jeden Zdołbunowiak uratował się z pożogi wojennej. Czas jednak robi swoje i już jest nas coraz mniej. Może ktoś w Zdołbunowie jeszcze nas wspomni i pamięta? Może nasze dzieci kiedyś jeszcze wspomną, że ich rodzice spędzili swoją młodość czy dzieciństwo w Zdołbunowie? Dla naszych synów i córek będzie to już odległe miasto, dalekie i nieważne. Może nawet wzruszą ramionami i zdziwią się, że za tak małą i odległą miejsciną, o której mało kto słyszał i którą trudno nawet znaleźć na mapie, ktoś tęsknił... i nie rozumieją już dlaczego.

Do krótkich wspomnień dołączyłem pięć opowiadań, z kiedyś zamierzonego większego zbioru, który nigdy jednak nie ukazał się w druku. Związane są z Wołyniem, bo traktują o wypadkach, które tam się rozegrały. To drugie wydanie mojej już dawno wyczerpanej książeczki z 1986 roku, ukazuje się teraz w niemal niezmienionej formie. Wprowadziłem do niej tylko drobne poprawki stylistyczne

i kilka uzupełnień. Od czasu gdy ją napisałem, w Europie Wschodniej i Środkowej nastąpiły ogromne zmiany. Polska pozbyła się narzuconego przez Moskwę reżymu, Ukraina o której tak często wspominam – odzyskała wolność. Tyle wieków wspólnego losu i nieszczęść nas łączy, więc dobrze się stało że Polska pierwsza uznała jej suwerenność.

*AUTOR*



1. Autor w okresie  
gdy chodził do szko-  
ły Królowej Jadwigi  
w Zdołbunowie



2. Młodzież ze Zdołbunowa na wycieczce do Wieliczki w 1935 r.  
Matka autora trzecia z prawej w górnym rzędzie, za nią autor

## W ZDOŁBUNOWIE ZAKWITŁY KACZEŃCE

Staliśmy, gromada rodaków, nad sadzawką w parku. Angielski dzień był pochmurny i zimny, wiosna późna, zieleń liści ciągle jeszcze ukryta w zamkniętych pąkach.

– A w Zdołbunowie już pewno kwitną kaczeńce – ktoś powiedział. I po raz setny, czy może tysięczny, przypomniał mi się na obczyźnie Zdołbunów. Ileż to lat już upłynęło od czasu, gdy w lutym i kwietniu 1940 roku załadowano setki Zdołbunowiaków do bydłęcych wagonów i wywieziono rąbać tajgę pod Archangielskiem? Ja uratowałem się, ale wielu pozostało tam na zawsze?

– Pamiętasz? – ktoś zaczął snuć wspomnienia.

– Ależ pamiętam. Pamiętam doskonale.

Tyle napisano o miastach Polski, że książkami o nich można by wypełnić półki dużej biblioteki. Weźmy na przykład taką Warszawę. Każdą ulicę, każdy niemal dom na nich ktoś opisał. Znamy ludzi, którzy w tych domach mieszkali i sklepy, które w nich się mieściły. Wystarczy otworzyć album z fotografiami by zobaczyć jak ulica tego czy owego wyglądała przed 1939 rokiem, jak wygląda teraz i ba, jak wyglądała w XVIII wieku, gdy ją malował Belotto.

A wieleż wydano monografii innych miast? Gdańska, Poznań, Kraków, Zamość i Lublin, Szczecin i Wrocław, nawet Kazimierz i Białegostok, może mniej już dwu najpiękniejszych: Wilna i Lwowa.

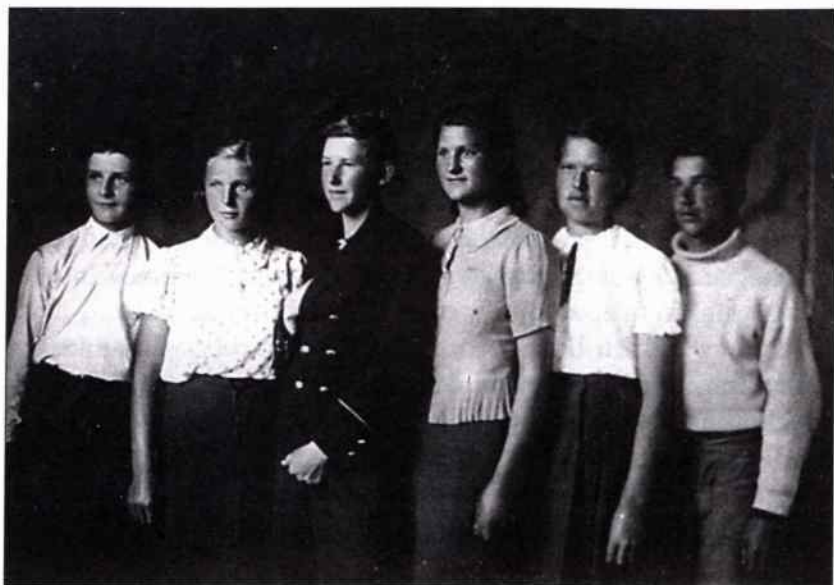
– A czy Zdołbunów wypadł sroce spod ogona? – pomyślałem. – Dlaczego nikt nie pisał o Zdołbunowie? Najcu-

downiejszym dla mnie mieście, bo moim rodzinnym. I to gdzie położonym? Na Wołyniu, w najurodzawszej części przedwojennej Polski.

Położonym pięknie wśród wzgórz porośniętych lasami, u stóp których jeziora, rzeka i stawy otaczały jak błękitny pierścień sady wiśniowe ogrodów podmiejskich. Kto widział tysiące drzew obsypanych kwiatami na wiosnę, orgię bieli falującej lub tańczącej przy każdym powiewie wiatru, temu już nie zaimponują pinie w Italii ani agawy w Hiszpanii.

A jeziora i stawy otaczały rozkwiecione łąki. Najpierw wczesną wiosną żółciły się kaczeńcami, później błękitniały niezapominajkami, by wreszcie zacząć mienić się, jak perski kobierzec, wszystkimi kolorami tęczy. Na wzgórzach pod lasem emerald oziminy zmieniał się latem w dukatowe złoto pszenicy. Falowała i błyszczała w wołyńskim słońcu, jak płaszcz z lamy bizantyńskiego władcy, szmerowany szafirami bławatków i rubinami maków. Kto widział te rozkwiecione łąki nad brzegami Ujścia, temu już nie zaimponują wymanikiurowane i przez dziesiątki lat pielęgnowane trawniki angielskie.

To Ujście, wąska rzeczka, płynęło łąkami do stawów w których była hodowla karpia i jeziora przy młynie, w pobliżu góry Kredowej, z której łamano kredę dla cementowni. Za nią, na wzgórzach leżały dwie wioski: Nowomyśl i Staromyśl. Stare były te wioski, bo istniały już w XII wieku i już wtedy były główną rezydencją kniaziów Kierdejów-Myślskich. W lesie za nimi, przez który szło się do niedalekich Tajkur, znajdowały się ruiny ich zamków, oraz 30 kurhanów pochodzących z XVI wieku. Wszystkie lata spędzałem nad tą rzeczką. Gdy przeprowadziliśmy się z domu na ulicy Kościelnej, do nowego przy Granicznej [dzielącej Zdołbunów od Zdołbicy] chodziła kąpać się w niej o świcie



3. Autor na Syberii pod Archangielskiem, 15. VIII. 1941. Od lewej: Jan Maciążek, Kazimiera Struzik, Romuald Wernik, Czesława Maciążek, Konstancja Dunalewska, Gomelifarb Motel

moja matka z koleżanką, białą Rosjanką, panią Bariszewską, mieszkającą na pobliskich Widłach. Ta ostatnia leczniczo, by pozbyć się tuszy. Chodzenie boso po mokrej od rosy trawie, miało pomagać na nadwagę.

Na łagodnym wzgórzu góry Kredowej, usiłowano w latach trzydziestych stworzyć ośrodek szybowcowy. Nic z tego nie wyszło, ale odbyło się na nim kilka pokazów latania na szybowcach, co było wtedy dużą sensacją.

Jeszcze w pierwszej połowie XIX wieku Zdołbunów był wioską należącą do włości Dubieńskich książąt Lubomirskich. Przeszedł na ich własność z 70 innymi wioskami od Ostrogskich, po układzie Kolbuszowskim z 1753 roku.

Gdzieś w 1870-tych latach po brzegach wioski puszczono linię kolejową, a za nią wybudowano osadę. Miastem został Zdołbunów dopiero w 1903 roku, po połączeniu starej wsi z tą nową osadą kolejową. Gdy powstała wolna Polska, wyawansował na miasto powiatowe. Powiat bowiem przeniesiono w 1924 roku dla wygody z Ostroga, który leżał na samej granicy polsko-sowieckiej i nie posiadał kolei. To, że został ośrodkiem administracyjnym powiatu, zadecydowało o jego pięknym rozwoju w okresie niepodległości.

Polacy byli tu liczną grupą od dawna, o czym świadczą stary kościółek i gdzieś po 1914 roku powstałe drużyny harcerek i harcerzy, podlegające chorągwi kijowskiej.

Ten stary podział na była wioskę i osadę kolejową utrwaliły dzielące miasto i przebiegające jego środkiem tory. Część na której stała wioska rozrosła się z czasem, osada za torami pozostała niemal taka sama. Na terenach byłej wioski powstało zróżnicowane architektonicznie budownictwo miejskie, w osadzie pozostało jednolite, jednopiętrowe, z szarej cegły i o blaszanych dachach. Jedyne inne akcent stanowił tu budynek gimnazjum o empirowej fasadzie i białych kolumnach. I oczywiście dworzec kolejowy, z małym placikiem przed nim, na którym zawsze stało kilka drożek. Czasami zajeżdżał nań samochód dyrektora cementowni Prusa. Jeden z dwu w Zdołbunowie. Dyrektora Prusa zamordowano chyba przy likwidacji getta zdołbunowskiego, jego córkę Hanke, która chodziła do miejscowego gimnazjum, zastrzelił milicjant, jeszcze przed jego likwidacją, na początku okupacji niemieckiej.

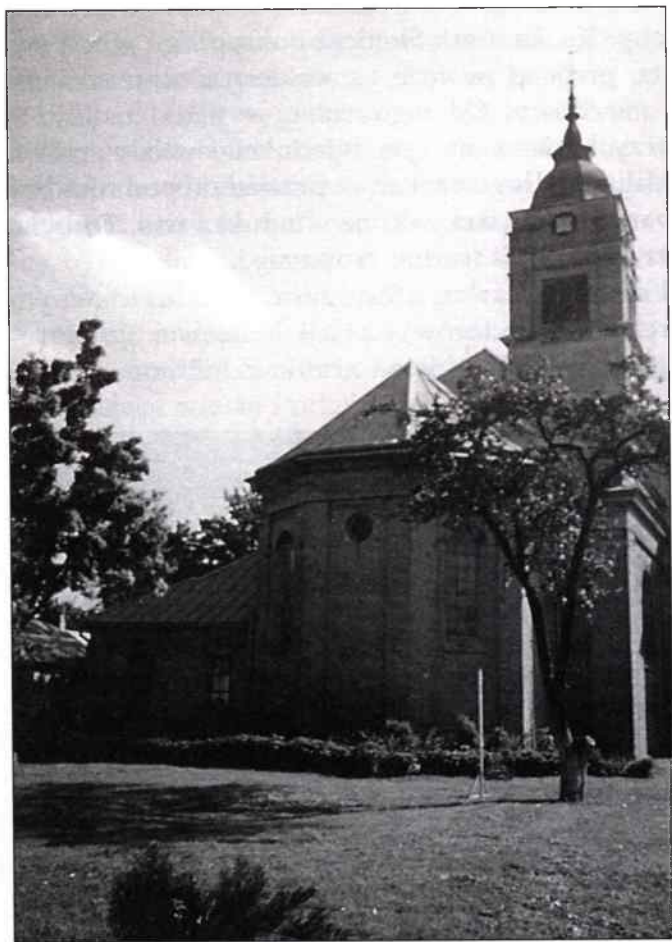
Przez długie lata do stacji kolejowej, czy do osady trzeba było przechodzić z miasta przez przejazd. Na tym przejeździe zdarzało się dużo wypadków, szczególnie w zimie gdy opatulone chustami kobiety wiejskie śpieszyły na rynek. Szeroki był, wyły na nim wiatry i buszowały zamiecie

śnieżne, więc nie słyszały ostrzegawczego gwizdu nadchodzących pociągów. Dopiero gdzieś po 1930 roku wybudowano nad nim wiadukt, bardzo uroczyście otwarty i poświęcony. Ks. kanonik Sienicki pokropił go wodą święconą, starosta przeciął wstęgę, a orkiestra strażacką odegrała hymn narodowy. Od tego czasu wypadki ustały. Stawaliśmy przy barierce na tym wiadukcie, wtedy mali chłopcy i potrafiliśmy długo czekać aż przejedzie pod nim buchający parą parowóz, a para zakryje wiadukt i nas. To była wtedy uciecha, którą dziś trudno zrozumieć.

Od nowego parku, który zasadzono na dawnym placu jarmarcznym, do torów i stacji kolejowej po drugiej ich stronie ciągnęła się główna arteria Zdołbunowa – ulica Na-



4. Park widok współczesny (2001). Fot. Irena Dejneka



5. Kościół pw. św. Apostołów Piotra i Pawła widok współczesny od strony plebanii (2001). Fot. Irena Dejnka

rutowicza. Przecinało ją kilka pomniejszych, biegnących od muru ogromnej cementowni oraz łąk ciągnących się wzdłuż torów do Lwowa, ku łąkom podmiejskim po drugiej stronie miasta. Najpierw Cerkiewna z cerkwią o pięciu zielonych cebulach kopuł, z których na prawosławną Wielkanoc przez trzy dni bito w dzwony; dalej Kościelna z nie zachwycającym nowym kościołem ceglany. Mały i stary, wydaje mi się ładniejszy, rozebrano w początkach lat trzydziestych. Nie mógł już pomieścić wiernych. Przy kościele stylowy dom kamienny, stojący frontem do uliczki ciągnącej się pomiędzy Kościelną i Cerkiewną, otoczony sadem owocowym zajmowali dwaj księża: proboszcz, siwy już kanonik Sienicki i młody katecheta Drabik. Mówiono o nim, że w 1920 roku był w żandarmerii [prawdopodobnie jednak



6. Plebania w Zdołbunowie (2001). Fot. Irena Dejneka

kapelanem w 12 Pułku Ułanów Podolskich, stacjonujących w Białokrynicy pod Krzemieńcem] i baliśmy się go jak ognia. Za każde przewinienie walił na lekcjach kantem drewnianej linijki po łapach. Kościół otaczały od ulicy drzewa kasztanowe, na których późną wiosną buczały setki chrabąszczy. Zaraz za kościołem, szczytem do Kościelnej, stał mały domek organisty, kryty blaszanym dachem. Organista pochodził gdzieś z Litwy i często ucinał rozmówki po litewsku z moją babcią. Kiedyś, już po wybudowaniu nowego kościoła, na placu pomiędzy kościołem a domkiem organisty rosły wysokie topole i ks. Sienicki zdecydował, że trzeba je ściąć, bo zasłaniają kościelne okna, które dopiero wstawiono. Przyszli robotnicy, zarzucili sznury na drzewa



7. Widok na Zdobunów z wieży strażackiej. Na pierwszym planie zniesiona przez władze sowieckie cerkiew, na dalszym kościół katolicki, jeszcze bez wieży, istniejący do dzisiaj. Na horyzoncie widoczne kominy cementowni, a za nimi Góra Kredowa



8. Na miejscu zniesionej cerkwi wybudowano w latach 90. XX wieku kaplicę św. Apostołów Piotra i Pawła. Fot. Irena Dejneka

i zaczęli je podpiłowywać. Ksiądz proboszcz upominał by uważali żeby się nie powaliły na nowe i bardzo kosztowne okna. Duży tłum zebrał się po drugiej stronie ulicy, wśród ciekawskich stał organista. Robotnicy zaczęli ciągnąć za sznury. Topola zachwiała się i wywróciła na domek organisty, przecinając jego dach na połowę. Jeszcze dziś widzę organistę biegnącego przez ulicę z podniesionymi rękoma, jak gdyby chciał to drzewo podeprzeć.

Cerkiew o której wspominałem została rozebrana po zajęciu Zdołbunowa przez armię sowiecką, a na jej miejscu wybudowano klub dla oficerów. Widocznie komuniści uznali, że jedna cerkiew prawosławnym w Zdołbunowie wystarczy. Ta, za torami, za osadą kolejową. Ogrody na tyłach cerkwi dochodziły do króciutkiej i zabłoconej uliczki, tuż przy nowym parku i stadionie sportowym gdzie stała kilku piętrowa nowoczesna szkoła im. Królowej Jadwigi, z filią w starym budynku kryjącym się po przeciwnej stronie parku. Druga szkoła powszechna znajdowała się „za torami”, obok gimnazjum A. Mickiewicza. Rozbudowa Zdołbunowa, w którym wybudowano szereg nowoczesnych budynków jak np. starostwa, stadion sportowy i wspomnianą szkołę, przypadła na okres, gdy jego burmistrzem był Stanisław Żurkowski, który przeniósł się w 1934 roku do Ostroga. Zamordowano go w Katyniu, a jego rodzina znalazła się po wojnie w Londynie, gdzie poznałem jego syna.

Przy parku, na tej błotnistej uliczce mieściła się w drewnianym budynku straż ogniowa. Na wysokiej wieży stał zawsze strażak wyglądający pożarów. W ostre mrozy wywieszano na niej białą flagę i wtedy nie musieliśmy iść do szkoły. Zawsze nam się wydawało, że tę flagę wywieszają zbyt rzadko i twierdziliśmy, że strażak jest w zмовie z nauczycielami. Gdzieś w trzydziestych latach sprzedano konie

strażackie i kupiono dwa samochody. Zmartwiło to dzieci, bo nie mogły za nimi nadążyć, gdy te pędziły do pożaru.

Ogromnym powodzeniem u dzieci i młodzieży cieszyły się w Zdołbunowie dwa kina. Szczególnie tłoczno w nich było gdy wyświetlano filmy o Tarzanie lub kowbojskie. Jedno kino nazywało się Lux i stało tyłem do torów kolejowych, a frontem do rynku. Pamiętam na tym rynku długie ogony młodzieży prowadzonej przez nauczycieli na niemy film pt. „Golgota”, który oglądął cały Zdołbunów, a niektórzy jego mieszkańcy po kilka razy. Księża nawoływali z ambony by go zobaczyć, a uczniowie szli do kina parami. W kinie nie wolno było palić, ale w połowie filmu zawsze miała miejsce przerwa i palacze przechodzili na papierosa do czerwonego saloniku o pluszem obitych krzeselkach i z dużym kryształowym żyrandolem u sufitu. W obu kinach zdołbunowskich znajdowały się też łóża, które dziś uchowały się tylko w teatrach.

W jednym z domów, tylko o kilka drzwi oddalonym od kina, bokiem do rynku, a frontem do wąskiej uliczki prowadzącej do wiaduktu i małego parku kolejowego o kilku kortach tenisowych, mieścił się sklep mięsny należący do mojego ojca chrzestnego. Nigdy go nie omijałem, bo chrzestny zawsze mi wkładał do ręki spory kawał kaszanki. Takiej pysznej kaszanki już nigdzie później nie jadłem. Nie wiem co z chrzestnym i jego żoną się stało i nawet nie pamiętam ich nazwiska. Zapomniałem zapytać o to moją matkę, przed jej śmiercią. Pamiętam tylko, że byli bardzo tędzy, tak jak na masarzy przystało i plotki o nich, że wiosną jeżdżą do Warszawy na upust krwi, która może któregoś dnia ich zalać. Często się modliłem by ich nie zalała, bo urwała by mi się darmowa kaszanka.

Za placem rynku mieściła się dzielnica biedoty żydowskiej i żydowska szkoła. Za nią stało na polach setki połą-

czonych drutem słupów, po których wspinał się masowo tu sadzony chmiel. W pobliżu, trochę na wschód, płynęło łąkami opasujące miasto Ujście i błyszczała w słońcu tafła dużego jeziora. Przy nim znajdowało się miejskie kąpielisko, z wybudowanymi na brzegu budkami dla rozbiegających się i przystanią kajakową. Żydów wymordowano na jesieni 1942 roku, pod okupacją niemiecką. Sam plac rynkowy przed kinem Lux był wybrukowany kostką bazaltową, którą produkowano w kamieniołomach Janowej Doliny, podobno od czasów Jana III, stąd jego nazwa. Wołyń jest bogaty w bazalt i wykładano nim wszystkie drogi i ulice w miastach. Na północ od Równego, od Berezowca aż po Janową Dolinę leży jego ogromna płyta o powierzchni 40 kilometrów kwadratowych.

*Janowej Dolinie warto poświęcić parę słów. Bazalt zaczęto w niej eksploatować komercyjnie i na dużą skalę w 1928 roku, po zbudowaniu linii kolejowej do Kostopola. Miasteczko leżało uroczo wśród rewiru pięknych, mieszanych lasów państwowych, na prawym brzegu Horynia.*

*Kamieniołomy były prowadzone wzorowo. W lasach wycięto szerokie aleje, wzdłuż których wybudowano urocze domki dla robotniczych rodzin. Przypominały stylem budownictwo zakopiańskie, były zelektryzowane i zaopatrzone w pompy wodne. Z czasem wybudowano tu z miejscowego kamienia piękny kościół i obszerną świetlicę ze sceną, na której występowały przyjezdne zespoły teatralne. Część pensji robotniczych wypłacano talonami, które robotnicy mogli wydać w zakładowym sklepie, z którego dochód szedł na ich potrzeby kulturalne i społeczne.*

*W 1931 roku kamieniołomy zatrudniały około tysiąca robotników i produkowały około 150 000 ton bazaltu, przeważnie kostki drogowej. Produkcja zaspakajała potrzeby wschodnich województw i Śląska oraz częściowo województwa poznańskiego. Płyta z wołyńskiego bazaltu przykryła na Rossie w Wilnie, grób matki marszałka Piłsudskiego i jego serce.*

Drugie kino zdołbunowskie mieściło się w drewnianym budynku przy ulicy Kolejowej i stało w ogromnym ogrodzie przy domu jego właściciela. Nie jestem już pewien czy nazywało się „Promień” czy „Przedwiośnie”. W dwu kinach zdołbunowskich oglądałem nieme filmy, w czasie których ktoś przygrywał na fortepianie, oraz zachwycałem się pierwszymi filmami dźwiękowymi i pierwszym filmem kolorowym, który do dzisiaj pamiętam. Był to film kowbojski i nazywał się: „W cieniu samotnej sosny”. Oprócz kina jego właściciel miał ładną córkę, która w czasie jakichś imienin wciągnęła mnie do szafy i nauczyła całować. Do powszechnej szkoły jeszcze wtedy chodziliśmy i zakochałem się w niej „do szaleństwa”, co mi jakoś szybko przeszło. Spotkałem ją rok czy dwa później, gdy już zaczęła chodzić do gimnazjum i nie mogłem się nadziwić, że mi się tak podobała. Miała twarz obsypaną pryszczami.

Po obejściu ogromnych i otoczonych wysokim murem terenów cementowni, przy ulicy prowadzącej z miasta na tzw. Widły, najbiedniejszej może dzielnicy Zdołbunowa, stał duży ceglany budynek „Domu Polskiego”. Niemal na przeciwko drugiego przejazdu przez tory kolejowe, przecinające drogę z cementowni do góry Kredowej i młyna. Odbywały się w nim bale i zabawy, akademie w święta narodowe i przedstawienia amatorskich oraz przyjezdnych teatrów. Bywał tu nawet genialny Osterwa i widziałem go dwa razy. Raz w „Przepióreczce” Żeromskiego, drugi raz w „Skąpcu” Moliera. Często przyjeżdżał do Zdołbunowa „Teatr Wołyński”, a także emigracyjne teatry rosyjskie i ukraińskie. Najczęściej jednak grywali na scenie w „Domu Polskim” miejscowi amatorzy.

Pan Mieciu, fryzjer i plotkarz, tak się przejął rolą w jakiejś bohaterskiej sztuce, że zamiast powiedzieć: „krew kapie i kapie, myślałem że jestem ranny, a to kapalo z gęsi”,

powiedział „kapie i kapie, a ja patrzę, że to z gąsk”. Publiczność ryknęła śmiechem, a później dzieci za panem Mieciem biegały i krzyczały: „ja patrzę a to z gąsk”.

Zakład pana Miecia mieścił się przy ulicy Narutowicza. Chodziły do niego wszystkie panie by zrobić trwałą ondulację i posłuchać plotek. Przy robocie nie zamykały mu się usta. Wiedział wszystko: kto z kim się żeni, komu żona oko podbiła i dlaczego, kto zgrzeszył ze służącą. Gdy przychodziły do jego zakładu dzieci, właściciel zlecał ich ostrzyżenie pomocnikowi. Ostrzyżonego spryskiwano obficie podłą wodą kolońską i delikwent pachniał przez kilka dni jak słów z landrynkami. Roztrzepany pomocnik zapominał nieraz o tej wodzie kolońskiej i wtedy dzieci skarżyły się rodzicom. Gdy jakaś matka donosiła o tym zaniedbaniu panu Mieciowi, ten trząsał pomocnika ręką w ucho i krzyczał:

– Czewo ty jewo nie naduszył? Ty myszuginie!

Pan Miecio zapominał się nieraz ze złości i jak się uniósł to nie zawsze krzyczał po polsku. Czasami po rosyjsku, czasami po żydowsku, a najczęściej w trzech językach naraz.

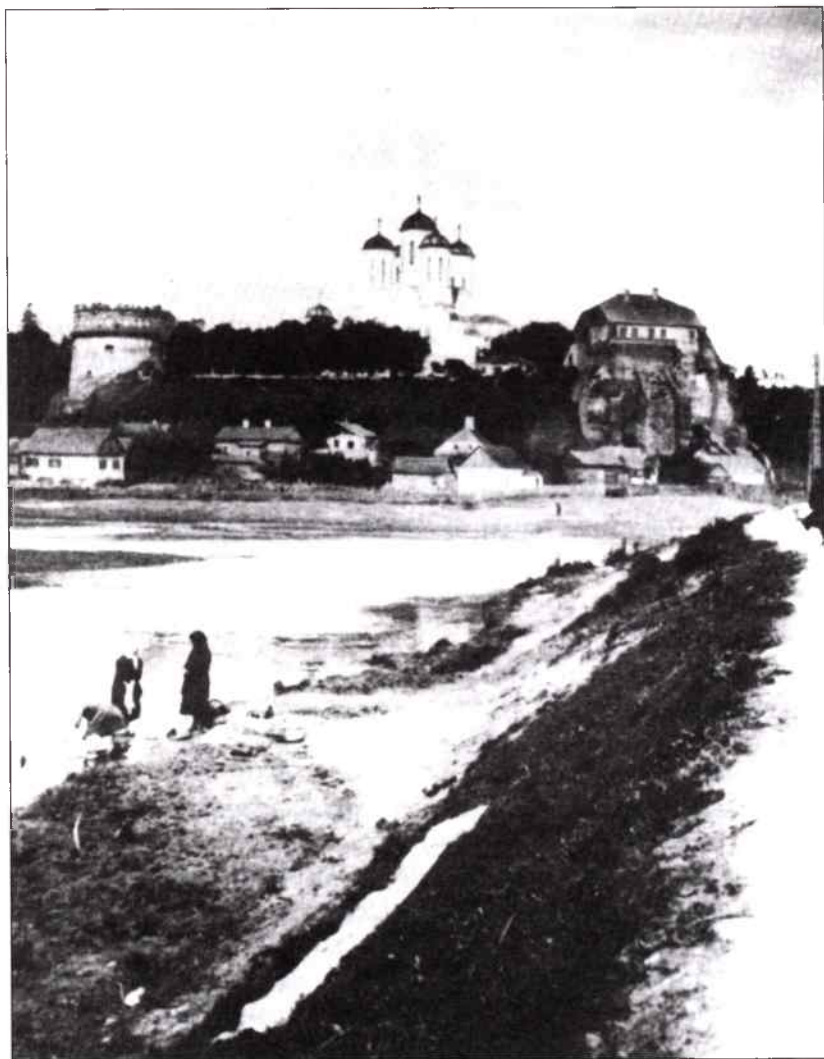
Gdzieś w początkach lat trzydziestych zaczęły kursować w Zdołbunowie dwa autobusy. Jeden jeździł do oddalonego o 12 kilometrów Równego, drugi do historycznego Ostroga, dokąd nie dochodziła kolej.

*W Ostrogu byłem któreś zimy na kursie narciarskim. Wilia omywająca wzgórze zamkowe była wtedy zamarznięta, a właśnie od strony rzeki widok na Ostrog był najładniejszy. Mieszkaliśmy w budynku seminarium nauczycielskiego, część którego, tuż niemal przed wybuchem wojny, objęli w posiadanie wypędzeni z niego po powstaniu listopadowym Ojcowie Kapucyni. Czy mogłem przypuszczać w beztroskie wakacje zimowe, że w tym budynku, w 1944 roku schroni się niemal siedem tysięcy Polaków i jeden z zakonników – Ojciec Remigiusz Kranc – okryje się chwałą?*

Ostróg należał do najstarszych grodów na Wołyniu i pierwsza wzmianka o nim pochodzi z 1100 roku. Nestor wspomina o mieście z zamkiem należącym do wnuka Jarosława, księcia Dawida Igorowicza. Ostrogskim nadał go książę Lubart Gedyminiowicz, ten, który wznosił zamek w Łucku. Daniło Ostrogski wybudował tu potężny zamek gotycki. Później ufortyfikował miasto książę Wasyl Piękny; z jego fortyfikacji pozostały dwie bramy miejskie: Tatarska i Łucka o pięknej attyce w stylu polskiego renesansu. W 1441 r. Fiodor Ostrogski wybudował barokowy kościół farny. Kościół spłonął i dopiero w XIX wieku, po wielu tarapatkach odbudowano go w stylu klasycznym. Pamiętam z niego piękny barokowy ołtarz Matki Boskiej uratowany od pożaru i prawdziwe cacko rokoka – kaplicę cmentarną na grobie zmarłego w 1780 roku biskupa Franciszka Komornickiego, którą zniszczyli sowieci. Została odbudowana staraniem ks. W. J. Kowalowa w 1995 roku.

Konstanty II Ostrogski stworzył w Ostrogu ośrodek naukowy i założył drukarnię. Po gmachu Akademii Ostrogskiej i drukarni nic nie pozostało. Egzemplarz Biblii Ostrogskiej wydrukowanej w 1581 roku oglądałem w cerkwi stojącej na wzgórzu zamkowym.

Ostrogscy nie żałowali pieniędzy na rozbudowę zamku i miasta. Mieli z czego. Ich majątki zajmowały 11000 kilometrów kwadratowych. Najbogatszy na Wołyniu klasztor jezuitów spłonął w 1821 roku i już go nie odbudowano. Ufundowała go w 1624 roku Anna Alojza Ostrogska. Szczególnie żałować należy kościoła, który projektował Benedykt Molli, twórca kolegiaty w niedalekiej Ołyce Radziwiłłów. Uchował się natomiast rokokowy kościół Kapucynów zamieniony w 1876 roku na cerkiew. W budynkach klasztornych i szkolnych mieściło się seminarium nauczycielskie, z którego gościnności korzystaliśmy na młodzieżowym kursie narciarskim. Po powrocie, niemal po stu latach, w sierpniu 1939 roku zakonu Kapucynów do Ostroga, odzyskali oni oprócz budynku klasztornego, też wspomniany kościół, który stał się świątynią młodzieży.



9. Ostróg, widok wzgórza zamkowego. Widoczne: wieża renesansowa, cerkiew zamkowa i pozostałość gotyckiego skarbcza

Uchowała się też w Ostrogu przepiękna synagoga z renesansową attyką frontu, fundowana przez Konstantego II w XVI wieku. Niegdyś mieściła się przy niej szkoła rabinacka i drukarnia, które zniszczyły wojny kozackie. Synagoga zapadła się dwa metry w ziemię i schodziło się do niej po schodkach. Ostróg był dowodem tolerancji dawnej Rzeczypospolitej i jego właścicieli. Prawosławni Ostrogscy piastowali hetmańskie i senatorskie urzędy, fundowali cerkwie, ale także kościoły i synagogi.

Dumą miasta był zamek, stojący na tzw. Górze Sądowej. Z pierwszego, gotyckiego uchował się skarbiec z przepięknym portalem. Była to kwadratowa budowla o 2 kondygnacjach. Na parterze mieściło się archiwum miejskie, na piętrze w pięciu salach było muzeum Ostrogskich. Zebrano tu wiele ich wspaniałych portretów i ciekawe dokumenty rodzinne. Po przebudowie w XVI i XVII wieku w stylu renesansowym pozostała okrągła baszta obronna zwieńczona polską attyką.

Bramę prowadzącą za mury zamieniono w XIX wieku na dzwonnice cerkiewną. Wzniesiona w 1521 roku kosztem hetmana Konstantego Ostrogskiego cerkiew znajdowała się w obrębie zamku. Należała do jednego z najcenniejszych zabytków architektonicznych na Wołyniu, o niespotykanej kombinacji gotyku z bizancjum. Zepsuła jej wystrój bogata lecz brzydka dekoracja rosyjska z XIX wieku. Grobowce Ostrogskich zniszczono w czasie wojen kozackich. Pamiętam tylko sarkofag Fiodora Ostrogskiego [tego, który ufundował kościół farny], uznanego przez cerkiew prawosławną za świętego. Widziałem Biblię Ostrogską i ogromny świecznik gdański z 1575 roku, fundacji Konstantego, do którego pendant dziwnym zbiegiem okoliczności znajdował się w Dubnie.

Ostróg, gdy w nim byłem, był 17-tysięcznym miasteczkiem, sennie wegetującym na granicy, która przebiegała po omywającej zamek Wilji. Parę domów miasta stało już po stronie sowieckiej. Ulice jego były pełne uroku i piękna. Każdy kamień mógł opowiedzieć o jego długiej i ciekawej historii. W ostatnim dniu pobytu w Ostrogu stałem pod renesansowym oknem zamku i słu-

*chałem opowiadania nauczyciela o tym, jak Dymitr Sanguszko wykradł Halszkę Ostrogską. Stado hałaśliwych wron nadleciało od granicy i obsiadło mury obronne. Czyżby to była wróżba?*

Dzisiaj przypomniałem sobie jak staliśmy kiedyś w ogrodzie z ojcem, który jeździł czasami pociągiem do Szepetówki, bo do Zdołbunowa dochodziły szerokie tory sowieckie, a nad nami leciało na wschód duże stado ptaków. Było to w okresie strasznego głodu na Ukrainie, w czasie którego szczytowało kilka milionów ludzi i granicę do Polski przekraczało wielu uciekinierów. Opowiadali straszne rzeczy. Patrząc za ptakami ojciec westchnął i powiedział:

– Te już nie wrócą. Zjedzą je głodni ludzie.

Nie zgadywał, bo i skąd? – że po aresztowaniu w lutym 1940 roku, wywieziona go przez tę Szepetówkę, do której tyle razy jeździł, w głąb Ukrainy sowieckiej. Przez wiele lat nie wiedziałem co się z nim stało i dopiero kilka lat temu znalazłem jego nazwisko na tzw. Liście Ukraińskiej, dwudziestu kilku tysięcy Polaków rozstrzelanych przez NKWD w więzieniach Ukrainy i Białorusi.

Na rok przed wojną zacząłem dojeżdżać do Równego i uczęszczać do Gimnazjum Kupieckiego. W kwietniu 1940 roku z całą rodziną siedziałem tam w zabytkowej synagodze, czekając na transport pod Archangielsk. Synagoga stała przy Zamkowej ulicy, prowadzącej do imponującego ale zniszczonego pałacu Lubomirskich. Stłoczono w niej chyba ze trzystu ludzi: mężczyzn, kobiet, dzieci. Spaliliśmy pokój na podłodze. Bojcy sowieccy pilnowali tylko drzwi wyjściowych, więc udawało mi się czasami wyjść przez nie pilnowane okno i kupić coś do jedzenia. Po paru dniach przewieziono nas wszystkich do przedwojennego więzienia w Basowym Kącie, gdzie ciągle dowożono ludzi z sąsiednich wiosek, aż do czasu gdy załadowano wszystkich na pociąg do Rosji.

Równe było setnym miastem założonym przez Ostrogskich.

Równe sto, ktoś powiedział i tak powstała jego nazwa. Znałem je dobrze. Chodząc w nim przez rok do gimnazjum, miałem czas po nim się włóczyć, czekając na pociąg, którym wracałem do Zdołbunowa.

Gimnazjum Kupieckie było szkołą prywatną, prowadzoną przez nauczycieli z Poznańskiego, o endeckich ciągotach. Brzydkie miasto posiadało setki żydowskich sklepików, przeważnie z garderobą, oraz niemalże tyle zakładów garbarskich i kuśnierskich. Właściciele sklepów ciągnęli potencjalnych klientów za rękaw do środka, przy tym głośno zachwalając towar. Targi ciągnęły się często godzinami. Klienci wychodzili kilka razy ze sklepów przysięgając, że już nie wrócą. Znowu wciągnięci którzyś tam raz do środka, ubijali wreszcie targ i opuszczali sklep z poczuciem zadowolenia, że udało im się utargować 10 czy 20 złotych od żądanej ceny.

Ulice Równego obwieszane były szyldami w pstrych kolorach i o nie zawsze gramatycznych napisach. Architekt miejski starał się walczyć z tą pstrokacizną, a magistrat ograniczyć ją przepisami. Nic to nie pomagało., więc raz na rok ruszał na miasto wóz magistracki z robotnikami, którzy zdejmowali nie przepisowe szyldy. Właściciele sklepów podnosili głośny rejwach, pomstowali, by w parę dni później zawiesić nowe, tak pstrokate i niegramatycznie, jak i poprzednie.

Równe liczyło około 70 tysięcy mieszkańców i kipiało życiem. Odbywały się w nim Targi Wschodnie, okno wystawowe przemysłu i rolnictwa Wołynia. Brały w nich też udział firmy zagraniczne, więc było to wydarzenie dla Wołynia dosyć ważne.

O dominację nad miastem konkurował z kościołem brzydki sobór prawosławny, o pięciu zielonych kopułach. Wybudował go Aleksander III w 1890-tych latach. W tymże niemal czasie wybudowano też duży, ale nieciekawy kościół w neogotyckim stylu, fundacji R. Sanguszki ze Sławuty. Budową kierował Konstanty

Wojciechowski, polichromią zdołił K. Polityński. W jednym z ołtarzy znajdował się obraz Matki Boskiej ofiarowany w 1650 roku przez Jana Czarnokozicza, lwowskiego garncarza, jeszcze staremu kościołowi z 1548 roku, Dużą wartość artystyczną przedstawiały w kościele epitafia Lubomirskich, dziś zniszczone, bo władze sowieckie, po zniesieniu wież, zamieniły świątynię na salę koncertową. W jego podziemiach pochowana była Ludwika Sosnowska, wielka miłość [zresztą obopólna] Tadeusza Kościuszki, która wyszła za mąż za kasztelana Józefa Lubomirskiego i mieszkała w Równem do śmierci w 1836 roku. Jak mnie informowano, szczątki Lubomirskich i Ludwiki wyrzuciły władze sowieckie na gruzowisko, na cmentarzu katolickim. Może nasi Kościuszkowcy mogli się zatroszczyć o dół dla niej na cmentarzu, ale nikomu nie przyszło to do głowy. W przeddzień wojny sowiecko-niemieckiej, sowieci zdążyli też wysadzić w powietrze ruiny zamku w którym mieszkała.

Już za miastem znajdowało się boisko sportowe Sokola, gdzie prowadzano nas na gimnastykę z gimnazjum. Zajmowało ono tereny wyciętego w czasie pierwszej wojny światowej parku przy pałacu Lubomirskich. Był to kiedyś jeden z najpiękniejszych ogrodów przypałacowych na Wołyniu, w modnym wtedy stylu angielskim, architektem którego był pracujący w Polsce Anglik Mikler, uczeń najstłynniejszego na wyspach brytyjskich projektanta parków i ogrodów – Capability Brawna.

Boisko sportowe otaczały bagna zamulonych sadzawek, na których stał pałac, wypalony w 1927 roku, o wspaniałej empirowej fasadzie. Zbudowali go Lubomirscy na fundamentach dawnego zamku Ostrogskich. W XVI i XVII wieku był najbogatszą rezydencją na Wołyniu. W XVI wieku mieszkała w nim Beata z Kościeleckich Ostrogska, córka Zygmunta I i znana awanturka. Wraz z nią przebywała tu tragiczna Halszka z Ostrogskich z niezgorszym od Beaty awanturnikiem A. Łaskim, jej drugim mężem. Po pożarze w 1694 roku, Jerzy Lubomirski na fundamentach zamku wznosił wspaniały pałac barokowy, który stał się centrum ich dóbr na Wołyniu. Rezydowali w nim Lubomirscy

przez 200 lat. Stanisław, niefortunny kandydat do korony w czasie elekcji Stanisława Augusta Poniatowskiego utrzymywał tu ogromny dwór i własne pułki janczarskie. W skład jego dóbr wchodziło 31 miast i 738 wsi.

W XVIII wieku pałac przebudowano w stylu Stanisława Augusta, a w XIX na empiryczny. W parę lat później Franciszek Lubomirski wybudował sobie nowy pałac, tzw. „Na Górcie” i zaniedbał starą rezydencję. W nowym pałacu mieścił się przed wojną sąd okręgowy, a park przy nim został zamieniony na park miejski. W pięknej empirycznej oranżerii mieściła się przez pewien czas bursa jednego z gimnazjów. W pałacu „Na Górcie”, F. Lubomirski skomponował znaną pieśń „Oj gwiazdeczko coś błyszczała” i z tego powodu chór szkolny śpiewał ją aż do znudzenia przy każdej okazji.



10. Ruiny pałacu Lubomirskich i kościół parafialny w Równem. Reprint starej pocztówki wykonany przez Ośrodek „Wołanie z Wołynia”

Przenosząc się do pałacu „Na Górcę” Franciszek Lubomirski zaniedbał całkowicie stary pałac, w którym wegetowało kilka osób służby. Najlepsze meble i dzieła sztuki wysłano do Lwowa, gdzie znalazły miejsce w Muzeum Lubomirskich. Z upływem czasu pałac coraz bardziej niszczał. Wiem, że o ostatnich jego dniach, gdy już tylko kilkoro służby w nim mieszkało i zaciekały dachy, pisał w swej książce pisarz ukraiński czy rosyjski, który w XIX wieku mieszkał w Równem. Niestety, ani tytułu książki, ani jej autora już nie mogę przypomnieć.

Jak wspominałem, kuśnierzy było w Równem po pięciu na każdej ulicy. Panie z całego Wołynia przyjeżdżały tu zamawiać futra. Wybierało się najpierw skórki, znaczyło je, aby Żyd nie podmienił, decydowało się na fason i wreszcie – wychodząc po kilka razy ze sklepu, że za drogo – ubijało się targ. Rówieńskie futro mojej matki przetrwało z nią zyskłą do Rosji, wojnę i prze-robione na kurtkę służyło jej przez wiele lat w Londynie.

Żydzi nauczyli ludzi, że trzeba się targować. Gdy jacyś Poznaniacy otworzyli tuż przed wojną sklep z ubraniami, na których były przypięte kartki z ich cenami, ludzie oglądali je, próbowali się targować, a gdy dowiadywali się, że w tym sklepie ceny są stałe, wychodzili i szli do żydowskich sklepików. W Równem hasło endecji: „Swoj, do swego, po swoje” do nikogo tu nie przemawiało.

W Zdołbunowie, na ulicy między kościołem a cmentownią stał kamienny budynek policji z kilku celami w podziemiach. Ci, co nie zapłacili podatku miejscowego, tzw. szarwarku, odsiadywali tu po kilka dni. Cele i biura sprzątała gruba i zezowata dziewczyna, która co roku zachodziła w ciążę. Niedużo po nocach mieli do roboty policjanci, nudzili się, a sprzątaczką była pod ręką i chyba chętna. Za pierwszej okupacji sowieckiej w budynku rozgościło się NKWD.

Na skrzyżowaniu ulicy Narutowicza i chyba 3 Maja, mieścił się sklep mięsny grubego, ledwo poruszającego się

Czecha. Jego nogi w pomarszczonych, jak pończochy bez podwiązek, butach, wyglądały jak dwie piramidy odwrócone do góry podstawami. Był on ojcem ładnej córki, która dała się komuś uwieść i urodziła nieślubne dziecko. Całe miasto o tym mówiło. Coś takiego to wtedy była sensacja. Zrozpaczony masarz rzucił się ze wstydu do studni. Studnia była stara, głęboka, murowana i jak lej zwężająca się ku dnie. Samobójca utknął w pół drogi. Zanim przyjechała straż pożarna, biedak już nie żył. Strażacy zarzucili mu pętlę na but, drugi koniec sznura przymocowali do walca i zaczęli kręcić korbą. Już nogi grubasa wystawały nad obmurowanie, gdy sznur pękł i samobójca spadł w dół po raz drugi. Wyciągnięto go wreszcie zarzucając dwie pętle, po jednej na każdą nogę.

Studnie znajdowały się przy każdym domu, tylko w nielicznych i osadzie kolejowej była założona instalacja wodna i w kuchniach były krany. Dziwne, że w tych studniach nie topiły się dzieci i nie było żadnych nieszczęśliwych wypadków. Rzucali się do nich tylko samobójcy. W moim domu rodzinnym przy ulicy Kościelnej, zajmował mieszkanie pan Wacki z rodziną. Przyjaźniłem się z jego synem. Gdy go ktoś zapytał, co robi w szkole, odpowiedział: bukw się uczę. Od tego czasu wszyscy nazywali go „Bukwa”. Któregoś dnia pan Wacki nie wrócił na noc do domu. Zaniepokojona żona zawiadomiła o tym policję i wzięła sznur z kotwicą, służący do wyłapywania wiader ze studni. Zaczęła nią grzebać w naszej studni, a później w studniach sąsiadów. Towarzyszyła jej gromada ciekawych dzieci. Wacka zarzuciła wreszcie kotwicę do ogromnej studni księżowskiej przy kościele. Zahaczyła o coś i zaczęła ciągnąć do góry. Zabulgotała woda i z piany, z hakiem wbitym pod brodę, wynurzyła się twarz naszego lokatora.

- Na poświęconym miejscu chciał życie skończyć - ludzie mówili.

Wokół rynku i na sąsiednich uliczkach mieściło się dużo sklepików. Na dwu rogach ulic przecinających główną - czyli Narutowicza, znajdowały się dwa największe sklepy żywnościowe, wtedy zwane „kolonialnymi”. Toczyły ze sobą zawziętą walkę o klientów. Moja rodzina większe zakupy robiła raz na miesiąc w sklepie pana Horwata, które za 20 groszy chłopak odnosił do domu. Gdy rachunek wynosił ponad 20 złotych, pan Horwat wkładał do koszyka pół kilo cukierków, za które nie liczył, więc wszystkie dzieci ciągnęły rodziców do jego sklepu. Pilnowały też by rodzice kupowali kawę firmy Bohma, bo za kupony na pudełkach, które się zbierało, można było dostać obrazki ptaków i zwierząt oraz album do którego je się wklejało. Jak przystało na sklep „kolonialny” można w nim było dostać cynamon, strąki wanilii i gałkę muszkatołową, ale także figi, fistaszki [orzeczki ziemne], twarde strąki „chleba świętojańskiego” [którym, dowiedziałem się w czasie pobytu w Hiszpanii, karmi się tam konie], no i oczywiście cytryny i pomarańcze. Te ostatnie były drogie i dostawałem je tylko „na wzmocnienie” po chorobie. Znany był wtedy żydowski kawał, w formie pytania i odpowiedzi. „Kiedy Żyd je Pomarańcz? Gdy albo Żyd, albo pomarańcz gnije”.

Niedaleko od narożnego sklepu Horwata mieściła się kawiarnia pana Jaczka z dużym oknem wystawowym, przed którym zawsze stała grupa oblizujących się dzieci. Na platerowych tacach piętrzyły się napoleonki, ptysie, serniki i makowniki. Leżały duże piramidy rumianych pączków, a przed Wielkanocą stały baranki z cukru i lukrowane babki. Przy ważnych okazjach rodzice zabierali mnie do Jaczka na ciastka. Tu można było spotkać z rodzicami wszystkie dzieci, w dniu ich przystąpienia do pierwszej komunii. Gdy

byłem na Syberii bardzo głodny, zaraz zaczynały mi się marzyć ciastka od Jaczka.

Parę lat przed wojną, jakiś Turek otworzył herbaciarnię naprzeciwko masarni Czecha samobójcy. Całe miasto się śmiało z wystawionej w oknie kartki z napisem: „Garbata garonca”. Gdy dostałem od rodziców 10 groszy, biegłem do Turka. Za tę cenę sprzedawał on podłużne, ciemnawe bułeczki z rodzynkami, które nazywał „żuliki”. Smaczne widocznie były, bo za 10 groszy można było kupić u Jaczka dwie „maślane” kajzerki, a jednak wolałem jednego „żulika”.

Obok Turka mieściła się piwiarnia, do której chodził mój ojciec gasić pragnienie po defiladach w dniach 3 Maja i 11 Listopada. Gwarno i wesoło w niej było w dnie targowe. Zapełniali ją chłopci zapijający ubite interesy. Pod solone śledzie lały się strumieniami piwo i wódka. Kto zrobił dobry interes zagryzał smalcówkami, tłustymi i większymi śledziami od tych sprzedawanych z beczki na codzień.

W oknie apteki na rogu Narutowicza i Piłsudskiego stała latami upstrzona przez muchy reklama z wierszykiem, który znali wszyscy chłopcy w mieście. Wracając ze szkoły zatrzymywali się pod drzwiami i śpiewali na skoczną melodię:

*– Ola gum to to, co nas podnieca,  
Ola gum, to nasza broń kobieca,  
Miękkka, cienka i nie pęka,  
To jest Ola gum...*

Aptekarz wybiegał z laską w rękę i rozpędzał chór, grożąc skargą u rodziców chłopców.

Jak każde miasteczko kresowe, miał Zdołbunów swojego Mośka. Jeździł wozem zaprzężonym w siwą szkapę i kupował szmaty, płacąc za nie igłami, gwizdkami i szpulkami nici. Gimnazjalistom sprzedawał na sztuki kondomy, które

ci z wypiekami na twarzy, pokazywali dziewczętom, robiąc im przy tym nieprzyzwoite propozycje. Do niczego to, oprócz rumieńców, nie prowadziło. Jakże nieświadomiona i porządna była młodzież w czasach gdy określenie panna, było synonimem określenia dziewica. Ostatni raz widziałem Mośka w pierwszych dniach okupacji sowieckiej w 1939 roku. Jechał okrakiem na armatce wojskowej, zaprzężonej w tę jego siwą szkapę, by oddać ją sowietom.

– Widzisz – krzyknął do mnie – Mosiek jedzie na polskiej armacie!

W lutym 1940 roku milicja aresztowała go za spekulację. Pewno wywieziono go do Rosji. Być może uratowało mu to życie.

Najbardziej szanowaną osobą w mieście był powstaniec z 1863 roku. Drobny, zasuszony, chodził zawsze w granatowym mundurze, podpierając się laską. Spotkawszy go, młodzież zdejmowała przed nim czapki. Nazywał się pięknie – Roch Wierzbicki i mieszkał w małym domku na Widłach. W najbiedniejszej dzielnicy Zdołbunowa, o drewnianych już kładkach zamiast chodników. Na wszystkich defiladach i uroczystościach sadzano go na honorowym miejscu przy staroście. Los okazał się dla niego okrutnym. Dożył okupacji sowieckiej i często myślę: po co?

Parodniową sensacją było i oburzyło panie w mieście, gdy ktoś przyłapał na łące jego prawnuczkę z gimnazjalistą. Nic tam zapewne oprócz pocałunków się nie stało, ale poszły w ruch języki. Dziewczyna chodziła jeszcze do powszechnej szkoły, chociaż była rozłożysta i piersista.

Czasami można było zobaczyć chodzącą po mieście parę wysokich żebraków z workami na plecach. Zawsze trzymali się za ręce i dlatego nazywano tę parę Adamem i Ewą. Opowiadano o niej, że to „biali Rosjanie”, on pułkownik carskiej gwardii, a ona hrabina. Trudno dzisiaj powiedzieć

czy to była prawda, bo wtedy każdy „biały” podawał się za pułkownika gwardii, a wiele Rosjanek za hrabiny. Oboje chodzili w kaloszach i długich jedwabnych pończochach, które on wciągał na nogawice spodni.

Całe miasto znało eleganckiego pana Zygmunta, urzędnika celnego i starego kawalera, na którego miało ochotę wiele zapóźnionych w małżeństwie panien. Mówiono, że pan Zygmunt nigdy się nie ożeni, bo ma zbyt wysokie wymagania. Jak wychodził na miasto, to ubierał lakierki i jedwabne skarpetki oraz budził podziw zawsze bardzo starannie zawiązanym i dobranym krawatem. Uprawiał sporty i biegał na długie dystanse. Na zawody ubierał kokieteryjnie krótkie spodenki. Raz gdy biegł przed trybuną w czasie zmagania sportowców zdołbunowskich z sportowcami z okolicznych wiosek, z przykrótkich spodenek ukazała się nie tylko jego płeć, ale i „religia”. Publiczność zaczęła bić brawa, matki zasłaniać oczy córkom, a jakiś dowcipniś krzyknął:

– Ubierz dłuższe majtki, albo krzyżyk z szyi zdejm.

Pan Zygmunt był przechrztą.

Z sennego życia budził się Zdołbunów tylko parę razy do roku. W dniu świąt narodowych, w czasie których pod dźwięk strażackiej orkiestry defilował każdy, kto tylko mógł. Szła straż ogniowa, podoficerowie rezerwy w mundurach wojskowych, członkowie PCK i Ligi Przeciwlotniczej oraz Morskiej i Kolonialnej, drużyny harcerzy i harcerzek, wreszcie szkoły. Na trybunie zasiadał starosta i burmistrz w otoczeniu duchowieństwa wszystkich wyznań i wspomniany już powstaniec z 1863 roku.

Bardzo uroczyście obchodzono dzień Bożego Ciała. O zaszczyt wybudowania ołtarza przed swoim domem dobijali się wszyscy kamienicznicy. Księdza z monstrancją prowadził najpierw starosta z burmistrzem, potem co

przedniejsi obywatele. Dziewczynki w bieli sypały kwiaty pod nogi celebranta. Chór śpiewał głośno, płosząc ptaki na drzewach. Na tę okazję wypożyczano basy z chóru cerkiewnego. Kościół żył w pewnej symbiozie z cerkwią. Gdy dzisiaj ruch ekumeniczny stał się tak modny, istniał on już na Wołyniu od dawna bez nawoływań i propagandy, naturalnie i z potrzeby.

Mieliśmy prawosławne rodziny i prawosławnych znajomych. Odwiedzaliśmy się w święta, które u nich były o dwa tygodnie później. Chodziliśmy na prawosławne pogrzeby i wesela. Biegaliśmy do cerkwi bić w dzwony na Wielkanoc, co trwało przez kilka dni. W cerkwi śpiewał przez parę lat bardzo przystojny diakon, więc pokąd się nie opatrzył, tłoczno w niej było od podkochujących się pań: prawosławnych ale i katoliczek.

Nie śpiewano już co prawda, jak kiedyś, po wioskach pieśni Platona Kosteckiego:

– *Odna w Boha Korolewa,  
Mołytsia za namy,  
z Częstochowy, Poczajowa  
i z nad Ostrej Bramy.*

Rusini już zostali Ukraińcami, podniósł głowę nacjonalizm. Gdyby tak dojrzałe politycznie były masy ukraińskie w 1918 czy 1920 roku, jakże inaczej potoczyłaby się może historia i na czele jakże licznych dywizji stałby ataman Petlura. Może Ukraina nie musiałaby czekać dalszych 70 lat na niepodległość?

Najhuczniej bywało w dzień odpustu, na świętego Piotra i Pawła. Plac przykościelny i sąsiednie ulice zajmowały kramy, na których sprzedawano kolorowe cukierki i szkaplerze, gliniane gwizdki i okropne oleodruki świętych, obwarzanki i różańce. Tysiące ludzi zjeżdżało się na odpust z sąsiednich wiosek, kilometrowa rzeka płynęła za procesją

i starała się wepchnąć do kościoła. Po mszy bawiono się do wieczora. Dzieci używały na karuzelach i huśtawkach, dorośli przy beczkach piwa dostarczonego z browaru w Kwasiłowie.

*Kwasiłów był czeską wioską położoną 3 kilometry na północ od Zdołbunowa, przy drodze do Równego. Koloniści czescy zaczęli przybywać na Wołyń po 1868 roku. Nabywali parcelowane ziemie wielkich własności, skonfiskowane Polakom za udział w powstaniu i wobec zakazu osiedlania się na Wołyniu chłopów polskich. Katolicy, od 1881 roku przechodzili na prawosławie, po wyjściu ukazu, że tylko prawosławni mogą nabywać tu ziemię. Byli wzorowymi i zamożnymi gospodarzami. Piwo pędzone w ich browarze cieszyło się dobrą opinią i nawet „dzielny wojak Szwejk” marzy na jednej ze stron o nim książki, o piwie z Kwasiłowa.*

Jako miasto powiatowe, Zdołbunów, trochę z urzędu, obchodził też huczne dożynki. Na stadionie sportowym zasiadali na trybunie miejscowi dostojnicy z starostą na czele, przygrywała orkiestra strażacka. Do trybuny szedł kolorowy korowód przedstawicieli wszystkich wiosek powiatu z pięknie ustrojonymi wieńcami z kłosów. Wręczający wieńce staroście śpiewali okolicznościowe pieśni. Pięknie śpiewano, bo wiadomo, że ukraińska ludność śpiewać potrafi i lubi. Śpiewano tu przecież idąc na pola, śpiewano wracając ze żniw i sianokosów. Wiezorami niosło pieśnią po polach. Pieśni śpiewanej na polach jednej wioski, często odpowiadał śpiew drugiej. A na dożynkach trzeba było przymrużać oczy, bo raziły je barwy pięknych stroi, migocących w słońcu sznurów koralu i wiatrem rozwiewanych pęków kolorowych wstążek. A później, wokół boiska do piłki nożnej, po żwirowej bieżni, jechały pysznie ustrojone wozy, uginające się od snopów, kwiatów i żółtych, ogromnych harbuzów. Każda wioska starała się wypiąć ponad sąsiednią, każda starała się by jej wóz był najładniejszy. Po

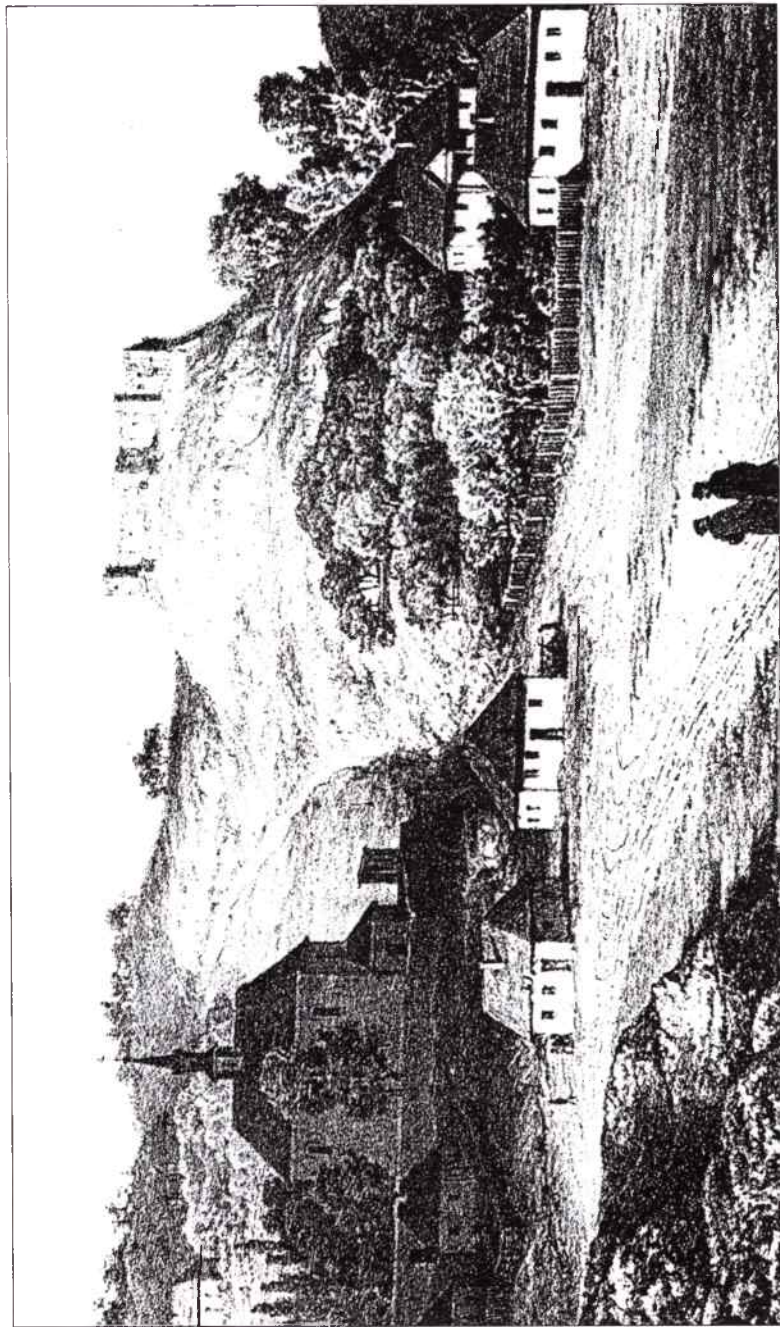
paradzie i przemówieniach, zebrani rzucali się do strategicznie rozstawionych beczek z piwem, dar browaru lub opłaconych przez magistrat. Do nocy śpiewano i tańczono na trawie boiska.

Może nie tak hucznie, ale uroczyściej niż to ma miejsce dzisiaj, obchodziliśmy Zielone Świąta. Te święta w Zdołbunowie były naprawdę zielone. Domy strojono gałązkami, stawiano młode brzoźki po obu stronach drzwi. Podłogi pokoi wyścielano tatarakiem, którego naręcze przynosiły z łąk dzieci lub przywoził wozem sprzedawca ze wsi. Na stołach stały bukiety kaczeńców.

Skoro już mowa o świętach, wypada wspomnieć o odpuszczeniu w Tajkurach, do którego szedł parę kilometrów przez las cały katolicki Zdołbunów w dniu świętego Wawrzyńca. Myślę, że ten zwyczaj pozostał z czasów gdy Zdołbunów był wioską i w XIX wieku należał do Tajkurskiej parafii.

*Po przekroczeniu mostu na rzece Ujście, tuż przed dużym młynem, trzeba było piąć się na wzgórze, z którego zbocza łamało kredę do cementowni. Po przejściu około kilometra kończyły się łany zboża i zaczynał las. Na prawo pozostawały wsie: Staromyłsk i Nowomyłsk, patrzące z góry na stawy, rzekę i Zdołbunów. Idąc lasem na wschód, po jakichś ośmiu kilometrach ukazywała się otoczona wzgórzami wieś Tajkury. Należała kiedyś do Kierdejów-Tajkurskich, zanim przeszła w ręce Wiśniowieckich, Radziwiłłów i Pełtowskich.*

Z dużego wzgórze dominowały nad nią ruiny zamku Wiśniowieckich. Zamek spłonął w 1825 roku, ruiny kupił Rosjanin i sprzedał z kolei Żydom na rozbiórkę. Uratowały się tylko resztki murów i baszt narożnych. U stóp wzgórze zamkowego stał barokowy, XVIII-wieczny kościół ufundowany w 1710 roku przez wojewodę podolskiego Wawrzyńca Pełtowskiego. Wewnątrz wisiał duży portret fundatora i drugi, biskupa Czołhańskiego. W ołtarzu głównym znajdował się obraz patrona kościoła św. Wawrzyńca, który zginął bez wieści w okresie wojny, a któ-



11. Litografia Tajkur z XIX wieku, wykonana z rysunku Napoleona Ordy

rego małych wymiarów kopia uchowała się i wisi dziś w kaplicy kościoła w Zdołbunowie. Zabytkowy kościół podobno rozszabrowali sowieccy żołnierze, obsługujący działa przeciwlotnicze w okresie wojny z Niemcami. W okresie drugiej okupacji sowieckiej służył jako skład nawozów dla miejscowego kotchozu. Dziś jest bez dachu i w stanie ruiny. Przed wojną w podziemiach kościoła stało szereg cynowych trumien, w jednej można było zobaczyć przez okienko wstawione w wieko rycerza w zbroi. W tych podziemiach pochowany też był Wawrzyniec Peptowski.

Probostwo o obronnej architekturze i pochodzące z XVI w., albo wchodziło kiedyś w zespół zabudowań zamkowych, albo było wybudowane przy wcześniejszym, nie istniejącym już kościele.

Po przeciwnej stronie wsi stała wzniesiona w 1731 roku cerkiew, ufundowana przez tych co i kościół Peptowskich, jeszcze jeden dowód tolerancji I Rzeczypospolitej. Jakże często spotykamy jej objawy na dawnych ziemiach kresowych! Przed wojną mieszkało w Tajkurach około 1 500 osób i istniały dwie szkoły: polska i ukraińska.

Wiele źródeł podaje błędnie, że w Tajkurach urodził się Jan Paweł Woronicz, arcybiskup warszawski i prymas Polski, mierny poeta, a jednocześnie autor pięknego Hymnu do Boga. Rzeczywiście pochodził z kresowej rodziny i jego ojciec piastował urząd stolnika wołyńskiego. Późniejszy prymas urodził się jednak we wsi Brodów leżącej w pół drogi między Tajkurami i Ostrogiem. W Ostrogu rozpoczął też studia w szkole jezuitów.

Z Tajkurami był natomiast związany pisarz Józef Ignacy Kraszewski, który w 1838 roku wziął ślub z bratanicą prymasa Woronicza. Za pieniądze otrzymane jako posag zakupił wieś Gródek koło Łucka, a po jej sprzedaży, pobliski Hrubin. Na Wołyniu Kraszewski mieszkał ponad 20 lat. Częste wyjazdy do krewnych na Polesie, Wołyn i Podlasie znalazły literackie odbicie w „Wspomnieniach Polesia, Wołynia i Litwy”, wydanych w 1840 roku w Wilnie, jak też w „Obrazach z życia i podróży”. Nazwisko Kraszewskiego spopularyzowały w dużej mierze jego

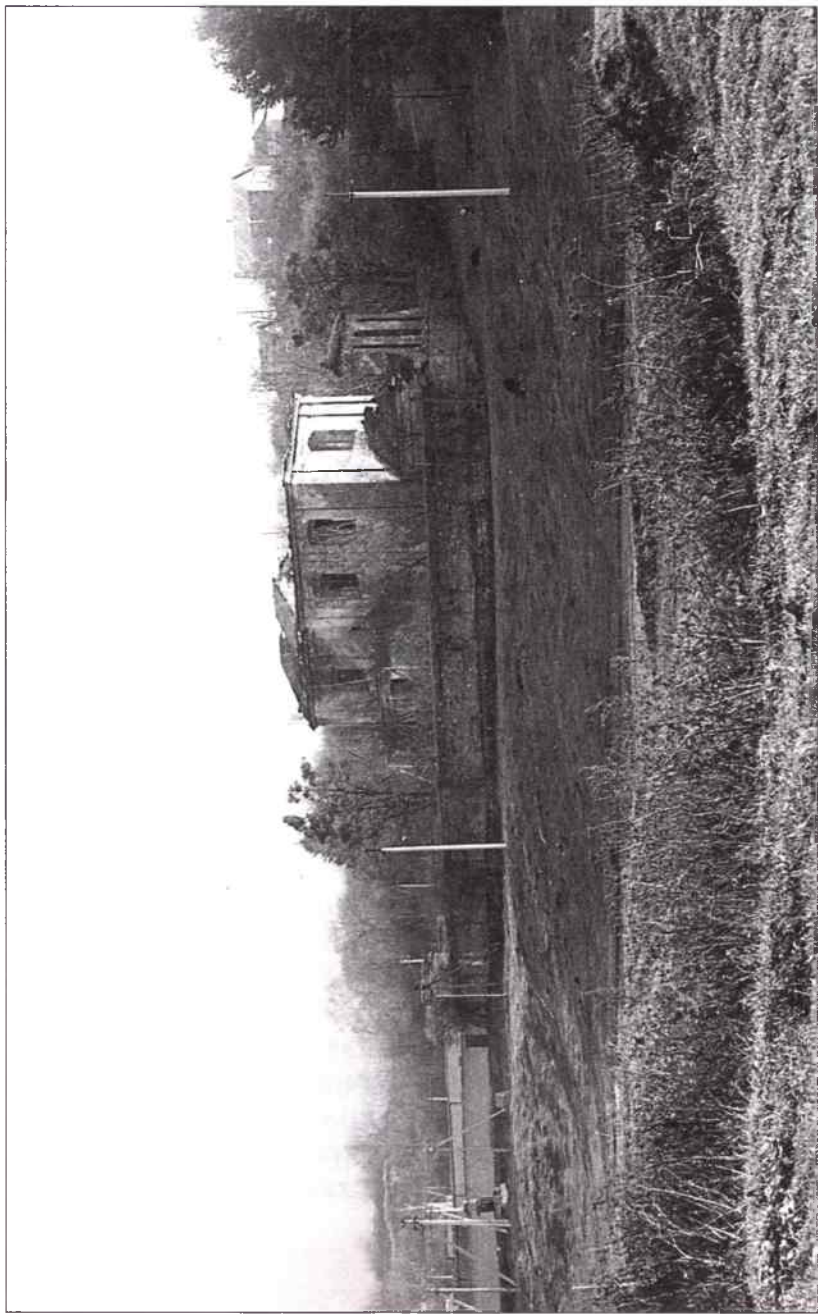


12. Kościół w Tajkurach – stan przed wojną

powieści ludowe. W latach 1842–1860 napisał ich dziewięć. Wiemy, że Kraszewski był w Tajkurach kilkakrotnie i tworzył tu przebywając w miejscowym dworze. Być może więc napisał tu też „Historię Sawki”, która ukazała się w 1842 roku. Gdy wszystkie powieści z cyklu „ludowego” reprezentują typ pisarstwa zaangażowanego ideowo po stronie chłopca w jego konflikcie z dworem, „Historia Sawki” jest wśród nich pozycją wyjątkową. Jest bowiem pierwszą książką, która mówiła o niedoli chłopca ukraińskiego. Podobna pozycja w owych czasach nie ukazała się w żadnym języku. Była pierwszym utworem literackim, który sprawę wyzysku i nędzę chłopca ukraińskiego poruszył. Wyprzedziła w tej trosce o chłopca wszystkich, którzy o tym zaczęli pisać i mówić później, oraz ruchy chłopomańskie, które w końcu XIX i początkach XX wieku powstawały np. w Kijowie, gdzie studenci Polacy zaczęli wdziewać chłopskie siermięgi. Dziwi mnie, że „Historia Sawki” nigdy nie została przetłumaczona na język ukraiński.



13. Cerkiew wybudowana przez Peplowskiego w Tajkurach



14. Kościół w Tajkurach stan obecny

Warto tu wspomnieć Michała Grabowskiego, zapomnianego dzisiaj krytyka literackiego i powieściopisarza kresowego, autora „Koliszczyzny i Stepów” oraz „Stanicy Hulajpolskiej”. Napisał on powieść baletrystyczno-historyczną pt. „Tajkury”, której akcja rozgrywa się w Tajkurach i ich okolicy. Jest już właściwie niedostępna.

Tajkury były pięknie położone. Otoczone lasami i wzgórzami. Dzięki swemu położeniu wśród wzgórz, były w dawnych wiekach często niezauważana i omijana przez przewalające się wtedy czambuły Tatarów. Od tych otaczających ją i tajnych gór powstała jej nazwa Tajnegóry, z czasem uproszczona na Tajgóry, wreszcie na Tajkury. Po każdej nawale, która wioskę ominęła, jej wdzięczni mieszkańcy ustawiali figurę jakiegoś świętego przy którejś z prowadzących do niej dróg. Stare figury w ceglanych kapliczkach stały jeszcze w 1939 roku. Św. Antoniego przy drodze do Nowomylska, św. Wojciecha do Posiahwy, św. Jana do Nowosiołek i św. Stanisława do Równego. Kapliczki zniósł władze sowieckie w 1960-tych latach.

Jakiś czambuł musiał jednak kiedyś na Tajkury trafić i został rozgromiony, być może przez załogę zamku Wiśniowieckich, bo na północ od wsi znajdował się liczący około 200 grobów cmentarz tatarski. Odpusty w Tajkurach były huczne i ludne. Schodziła się na nie ludność z całej okolicy, tak katolicka jak i prawosławna.

Po wsiach tak mało było okazji do zabawy i tak rzadko zdarzała się okazja dla dzieci przejechania się na karuzeli. Do Zdobunowa wracaliśmy przez las już nocą. Księżyc świecił jak duża latarnia, pachniały sosny i szumiały nad głowami liście grabów.

Wielką rolę w życiu kulturalnym Zdobunowa odgrywała duża księgarnia pana Wojciechowskiego, stojąca tuż przy rynku. W pobliżu była druga, należąca do jakiegoś Ukraińca, z ukraińską prasą i podręcznikami dla ukraińskich szkół. Polacy kupowali książki szkolne i zeszyty u Wojciechowskiego. Jego księgarnia była dobrze zaopatrzona bo właści-

ciel traktował swój zawód jako pewnego rodzaju misję popularyzowania dobrej literatury. U niego ojciec kupił mi zbiorowe wydanie dzieł A. Mickiewicza, które towarzyszyły mi wraz z II tomem „Potopu” przez całe zesłanie do Rosji. Pana Wojciechowskiego zamordowano wraz z kilkuset Żydami i Polakami na gliniankach za cementownią w czasie okupacji niemieckiej.

W dniu targowe rynek zapełniał się straganami i wozami. Rzędami stały przy koszykach kobiety z sąsiednich wiosek. Tu kupowało się jarzyny, owoce i nabiał oraz robiło się zapasy ziemniaków na zimę. Latem stały na straganach kosze pełne czarnych jagód, jesienią piętrzyły się grzyby.

Na rynku uwijał się z pomocnikiem urzędnik magistracki pan Maryniak, pobierający od przekupek opłaty za miejsce. Całe miasto go znało. Był czynny we wszystkich organizacjach, a na defiladach prowadził Związek Podoficerów Rezerwy. Salutując przed trybuną zawsze się garbił i żona nazywała go dlatego „ofermą sztabową”. Tłum przyglądający się defiladzie zawsze oczekiwał, aż przed trybuną przemaszeruje pan Maryniak. Robiono zakłady: zgarbi się czy nie? Swą żonę Maryniak nazywał „zębątem ziandarmem” bo miała wystające zęby, a on nie wymawiał ż, rz, i sz, oraz trochę się jąkał. Mieszkali w naszym domu na ulicy Kościelnej. Musieliśmy wysłuchiwać częstych awantur, po których dochodziło do bójek, które zawsze przegrywał mąż, bo Maryniakowa była dużą i silną babą. Co jakiś czas, pan Maryniak pukał po nocy do naszych drzwi. Prosił ojca o wypożyczenie jakichś spodni, bo żona wypędziła go z mieszkania tylko w kalesonach. Po awanturach zawsze jednak się godzili. Ludzie w tych czasach nie rozwodzili się tak lekkomyślnie jak teraz.

Z wadą wymowy miewał Maryniak częste kłopoty. Kiedyś np. zauważył, że jego pomocnik nie wpisuje dat na

kwitach wydawanych przekupkom po uiszczeniu opłaty za miejsce i te legitymują się tym samym papierkiem przez kilka tygodni. Wściekły dopadł więc pomocnika i krzyknął ze złością:

– Pis daty! Pis daty!

Przekupki ryknęły śmiechem, a obrażony pomocnik dzielił go bez namysłu pięścią w oko.

Dostał też od policjanta Zagórskiego [a może Podgórskiego?], który się jąkał i w czasie rozmowy zaczął podejrzewać, że Maryniak go przekrzywia. Piękna córka tego policjanta, po uratowaniu się z zsyłki do Rosji, już po wojnie była często wybierana królową balów emigracji w Londynie, a później została słynną modelką.

Pan Maryniak, który pochodził ze Śląska i był powstańcem śląskim, uciekł ze Zdobunowa w pierwszych dniach okupacji sowieckiej i wszelki śluch o nim zaginął. Mówiono złośliwie, że skorzystał z okazji by uciec od żony. Może i trochę prawdy w tym było, bo po wojnie odnalazł się na Śląsku, gdy jego żona zamieszkała w tym czasie w Warszawie.

Baby musiały często przychodzić na rynek z bardzo daleka.

Z takiego Nowomylska najprościej było iść przez bród na rzece, a później łąkami. Leżeliśmy, grupa chłopców, w trawie nad rzeką i patrzyli jak baby podkasują spódnice wchodząc do wody. Czym bliżej do środka, tym wyżej. Gdy wracały, białeły obfitymi tyłkami. Wtedy naciągaliśmy proce.

– A szc zob was traćcia murdowała – krzyczały.

Świeże mleko przynosiły co dzień do domów klientów dziewczyny ze wsi. Wybór gospodarza, od którego się je brało wymagał poważnej decyzji. Szło się najpierw oglądać krowy czy zdrowe i nie chorują na gruźlicę, piło się szklan-

kę świeżo udojonego mleka by sprawdzić, że jest tłuste i smaczne. Dopiero wtedy ustalało cenę i ilość potrzebnych litrów.

Nam mleko przynosiła Mańka. Przychodziła co rana, latem i zimą, deszcz czy śnieg, dźwigając na „koromyśle” dwie cynowe bańki. Z tych baniek wydzielala mleko dla nas i sąsiadów. Uświadomiła mnie i kolegów anatomicznie. Dawało jej się pięć groszy i mówiło po prostu: Mańka pokaz. I Mańka zadzierała spódnice. Kto tam majtki by na wsi nosił? Jak któryś z kolegów nie miał pięciu groszy, to chował się za krzakiem i podglądał, gdy pokazywała temu, który zapłacił.

Ojciec Mańki był bardzo pobożny i co roku chodził piechotą do Poczajowa na odpust. Raz wrócił z obrazem św. Mikołaja, który przyniósł pokazać mojej matce.

– Jakiś straszny ten święty – powiedziała krytycznie. – Spode łba patrzy i to zezem.

– Co mi tam – machnął ręką. – Powieszę go w komorze i dzieci będą się bały podjadać śmietanę.

Gdy przeprowadziliśmy się z Kościelnej do nowego domu na Granicznej, w pół drogi między Zdołbunowem i Zdołbicą, z tych otaczających miasto wiosek zajeżdżały często wozy po babcię, która trudniła się akuszerstwem i znachorstwem. Znała mnóstwo ziół i parzyła wywary pomagające na różne dolegliwości. Mnie i siostrę poiła wywarem z kwiatu lipowego od gorączki na poty, a niemożliwie gorzkim wywarem z piołunu na dolegliwości żołądkowe.

Dużo ludzi w tym czasie chorowało na „różę” o której dzisiaj mało się słyszy. Leczenie jej wymagało całego ceremoniału i odbywało się o wschodzie słońca. Opuchliznę owijało się niebieskim papierem, którym cukrownie owijały głowy cukru [kto o nich dzisiaj słyszał?], a ten lnianym płótnem. Na płótnie spalało się kłaki konopi, recytując zaklęcia i modlitwy. Pomagało. Pamiętam, jak już na zesłaniu

w Rosji, babcia wyleczyła opuchniętą i czerwoną nogę sceptycznej sowieckiej nauczycielce.

Wielkim sukcesem babci było wyleczenie dziecka bogatego gospodarza ze Zdołbicy. Jego ukochana córeczka straciła głos po ataku na nią psów wiejskich. Leczyło ją kilku lekarzy ze Lwowa i z Warszawy. Bez skutku. Wezwana jako ostatnia deska ratunku babcia, napoiła dziecko jakimiś ziółkami na wzmocnienie serca, położyła je pod drewnianymi nieckami, w które walnęła jak w bęben grubym drągiem. Dziecko wrzasnęło ze strachu i odzyskało mowę. O zdolnościach lekarskich babci zaczęła mówić cała okolica.

Na codzien była babcia akuszerką dla biednych. Po okolicznych wsiach przyjęła chyba kilkaset dzieci. Nie płacono jej za to, tylko dopiero na chrzcinach goście podchodzili do babci, przypijali do niej kieliszkiem wódki, ona do nich i dopiero wtedy kładli na tacy złotówkę. To była zapłata akuszerki. Babcie miała widocznie „mocną głowę”, bo musiała wypić z każdym obecnym na chrzcinach, a bywało na nich po kilkudziesięciu gości.

Kłopot z przyjętymi przez babcię dziećmi zaczynał się dopiero na Wielkanoc. Był zwyczaj, że każde przyjęte dziecko, musiało przynieść akuszerce malowane jajko. Szły więc dzieci z rodzicami z okolicznych wiosek, po deszczu brodząc w błocie i niosąc kraszanki owinięte w chusteczki. Matka złościła się, bo nie można było po nich domyc się podłogi.

Część pieniędzy łądowała babcia w wyprawę pośmiertną. W jednej z szuflad trzymała czarną suknię i koronkową mantylę, w których chciała być pochowana. Odnawiała tę wyprawę co kilka lat i wietrzyła co wiosny, przesypując potem świeżą naftaliną. Zmarła biedaczka w Permie na Uralu i ciało jej, które matka obszyła prześcieradłem, zostawiliśmy w drewnianej budzie, na stosie nagich ciał ludzi zmar-

łych z głodu, chorób i wycieńczenia. Było to już w drodze do wojska.

Dużą wartość przedstawiał na wsi sznurek, na którym się ktoś powiesił. Chronił bydło od chorób i wkładało się go za belkę w chlewie lub oborze. Pamiętam jak przy pomocy znajomego policjanta udało się babci taki sznurek zdobyć. Sprzedawała go później po 10 złotych za mały kawałek, co dla wieśniaków było dużą sumą.

Skoro już piszę o zabobonach, to warto odnotować, że mijając księdza czy popa zawsze trzymaliśmy się za guzik. Zaniedbanie tego mogło przynieść nieszczęście.

W burzę wielu ludzi wyrzucało na podwórze drewnianą łopatę służącą do wyjmowania chleba z pieca i tzw. kociubę [coś à la motykę służącą do wygarniania żaru z pieca chlebowego], co miało ochronić dom od piorunów.

Dzieci chroniła od chorób ususzona pępowina. Nosiło się ją w małych woreczkach, zawieszonych jak szkaplerz na szyi.

Babcia jako znachorka wszystkie te zabobony oczywiście знаła i chętnie udzielała porad jak ustrzec się od nieszczęścia czy choroby. Nawet lubczyk warzyła, ale byłem za młody by sprawdzić jego wartość. Nie leczyła tylko gruźlicy. To było przywilejem doktorów i hycla, który dostarczał topionego psiego sadła, które pili chorzy. Hycel był zatrudniony przez magistrat i pełnił dwie funkcje. Jak nie łapał psów, to wywoził beczkowitzem zawartość ubikacji na pola za miastem. Wtedy nie był hyclem tylko potocznie nazywanym gównowozem.

Jak na owe czasy, Zdołbunów był miastem zamożnym. Ogromna cementownia wyrabiająca portlandzki cement zatrudniała kilkuset ludzi. Do miasta dojeżdżały szerokotorowe pociągi sowieckie i tu przeładowywano do polskich wagonów eksport z Rosji na zachód. Przy przeładunku też zatrudniano dosyć dużo ludzi. Kilkuset zapewne pracowało

na kolei i w okazałej parowozowni. Wreszcie urzędy miejskie, powiatowe i celne, też potrzebowały wielu urzędników. Zamożność miasta można było widzieć na każdym kroku. Ulice były porządnie wybrukowane, chodniki z cementowych płyt i dość szerokie, na niektórych ulicach oddzielone od jezdni trawnikami, na których sadzono drzewka. W okresie dwudziestolecia wybudowano nową szkołę, starostwo i magistrat, stadion sportowy, okazały kościół, zasadzono nowy park. Tu i ówdzie wyrosło kilka nowoczesnych domów. Było schludnie i czysto. Regularnie zamiatano ulice, a po zarządzeniach Sławoj-Składkowskiego [który wiedział co robi, bo z wykształcenia był lekarzem] malowano płyty i dezynfekowano ubikacje. O zdrowie pracujących dbała Kasa Chorych, Kropla Mleka wydawała mleko dla dzieci bezrobotnych, których z czasem obdzielono kozami i ogródkami do uprawy jarzyn, chorowitą młodzież wysyłano na kuracje do Rabki. Chyba nikt nie umarł z głodu w okresie światowego kryzysu i głodu o wymiarze klęski na sowieckiej Ukrainie.

Pod okupacją sowiecką Zdołbunów zszarzał i zbrudniał w ciągu kilku dni. Pamiętam jak we wrześniu 1939 roku szedłem po mieście za dwoma sowieckimi oficerami.

– Czyste miasteczko – jeden powiedział, a drugi mu przytaknął.

Tysiące żołnierzy nie było przyzwyczajonych do używania ubikacji. W kilka dni już śmierdziały ulice i parki. Nikt nie sprzątał jezdni i nie zamiatał chodników. Jakiś żołnierz patrząc na blaszane dachy domów westchnął:

– Ot, marnotrawstwo. Wieleż to z tej blachy wiader można było zrobić.

Ostatni raz widziałem dachy Zdołbunowa, otoczone kwieciami kwitnących wiśni wiosną 1940 roku z okienka bydłowego wagonu w drodze na Syberię. Przy stojącym

w pobliżu żydowskiego tartaku pociągu, zobaczyłem Mańkę, która nam przynosiła mleko.

– Mańka pokaż – krzyknąłem z nawyku, ale ona trzymała fartuch przy oczach i płakała. Później się dowiedziałem, że tym samym pociągiem wywożono jej krewnych ze Zdobicy.





## DO RODZINNEGO GROBOWCA

Konie pułku upadały ze zmęczenia. Szły wolno ze zwieszonymi łbami, ciche i zakurzone. Potrzebowały wypoczynku. Linia frontu przesunęła się w głąb Ukrainy. Urwał się kontakt z cofającymi się bolszewikami. Dowódca pułku zarządził zasłużony odpoczynek.

Kolumna zatrzymała się przy ruinach rozwalonego pałacu. Po niegdyś imponującej rozmiarami budowli pozostały ogromne piramidy gruzów, reszta posadzki parteru i dwie kolumny, które zdobiły nieistniejącą teraz salę balową. Stały teraz jak dwa białe pnie potężnych brzoź, z których ktoś obdarł gałęzie. Jakimś cudem uratowały się prawie nieuszkodzone stajnie i dworskie czworaki o powybijanych oknach, w których rozmieścili się ułani. Wokół starych drzew parku rosła soczysta trawa, do pasa niemal sięgająca nad ozdobną sadzawką. Puszczono na nią konie.

Czterech oficerów ulokowało się w pałacowej suterynie, w której uchował się jakiś stół, kilka ławek i szereg półek po butelkach dawno wypitego wina i słojach konfitur albo kompotów. Wieczór się zbliżał, ale za wcześnie jeszcze było by kłaść się spać, więc zasiedli wokół stołu do pokera, przedtem zapalając świeczkę wetkniętą w szyjkę butelki.

Rotmistrz Lewkowski dostał trójkę asów i sięgał właśnie do kieszeni po drobne, by podwyższyć stawkę, gdy płomień świecy zachwiał się i zgasł.

– Który to dmucha – zdenerwował się, będąc pewien, że trzyma w ręku wygraną.

– To chyba przeciąg – zapalając zapałkę uspokoił go adiutant pułku Batowski.

Rotmistrz przesunął drobne ku środkowi stołu, gdy płomień świecy pochylił się na bok i zgasł po raz wtóry.

– Dostyc tego – krzyknął rotmistrz już nie ukrywając złości.

– Nie denerwuj się gołąbeńku. Cug tu musi być, albo od drzwi zawiąło – prawie zaśpiewał, z wileńska przeciągając słowa wąsaty major Rombajło.

Batowski zapalił świecę po raz drugi.

– Ile pan podbija – zapytał. Dostał dwie dziewiątki i trzymał w ręku fula królewskiego.

Lewkowski wyczuł niebezpieczeństwo i postanowił się zastanowić. W puli leżała spora suma pieniędzy. Położył karty na stole i podniósł się z ławki.

– Poczekaj. Skręcić muszę – powiedział.

I wtedy stało się coś dziwnego... Pudełko z tytoniem, które pozostawił na półce, sfrunęło z niej jakby miało skrzydła i wylądowało na chropowatym blacie stołu. Otworzyła się pokrywka i zawartość rozsypała się po rozłożonych kartach.

– A nie mówiłem, że przeciąg – skonstatował z nieukrywaną satysfakcją adiutant.

– Jaki przeciąg – zdenerwował się znowu Lewkowski – Jak taki przeciąg, którego człowiek nawet nie czuje na plecach, może rzucić blaszanym pudełkiem?

– Duch tu musi być, co figli płata – wtrącił już poważnie major Rombajło. – Dusza potępiona płata się.

– Nie opowiadaj pan bajek – roześmiał się adiutant.

Gdzieś nad sklepieniem obsunęła się kupa gruzu z takim grochotem, że gracze zerwali się z miejsc i nasłuchując zamarli na chwilę w bezruchu.

– Znak dał – upierał się przy swoim major. – Może modlitwy potrzebuje?

– Czekać – odezwał się po raz pierwszy, zawsze pełen pomysłów, porucznik Syk-Barwioński. – Napiszę na papierze alfabcik, szklankę mamy, położy się na niej ręce... Jak tu jest duch, to popchnie szklankę od literki do literki i będzie odpowiadał na pytania.

– Zwariował pan – stwierdził adiutant.

– Czy jemu się zechce – powątpiewał Rombajło.

Syk rozłożył na stole mapę i na jej odwrocie zakreślił ołówkiem koło. Wokół jego obwodu wykaligrafował litery alfabetu i postawił na środku szklankę obracając ją dnem do góry.

– Siadajcie panowie – zachęcił. – Połóżcie palce na szklance i tylko bez kawałów. Nie popychać.

– Kim jesteś duszo błakająca się – zapytał poważnie major Rombajło.

Szklanka zaczęła posuwać się po papierze.

– WŁAŚCICIELEM TEGO PAŁACU – sylabizował Syk.

– Czego potrzebujesz – major drżącym z przejęcia głosem zadał drugie pytanie.

– TRANSPORTU DO GROBOWCA RODZINNEGO.

– A gdzie ten grobowiec – zapytał rotmistrz Lewkowski wpół wierząc, wpół traktując całą sprawę jako zabawę.

– W BIAŁEJ CERKWI – wysylabizował Syk.

– A jak tam pojedziesz? Na miotle? – zażartował adiutant.

– NA SIWYM KONIU.

Batowskiemu uśmiech znikł z twarzy. On jeden tylko miał siwego konia w tym pułku.

– Nie wygłupiajcie się panowie – powiedział. – Który to szklankę popycha i głupie żarty stroi?

– Nie ja – otrzymał jednocześnie trzy odpowiedzi kolegów.

– Nie wierzę – podniósł głos Batowski. Już był gotów się obrazić. Ledwo jednak skończył mówić i zanim obrażony

zdział palce z dna szklanki, ta ruszyła po papierze z taką szybkością, że Syk ledwo zdążył z czytaniem.

– JAK ZATAŃCZĘ MAZURA Z KOLUMNĄ. WTEDY UWIERZYSZ.

Straszny huk dobiegł ich uszu, jakoby ktoś taranem bił w sklepienie piwnicy. Oficerowie zerwali się od stołu i ruszyli po schodach na górę. Zanim wypadli na dwór, gruchnęło jeszcze raz. Zobaczyli, że jedna z do niedawna stojących kolumn leżała teraz na gruzach, przełamana na kilka części. Stali przez chwilę milcząc pod wrażeniem tego co się zobaczyli. Odechciało im się wywoływania duchów i gry w karty. Cisi wrócili do suteryny i położyli się spać. Nawet komentować tego co się stało nie mieli ochoty. Adiutant pułku nie zmrużył tej nocy oka. Na wojnie, nawet najbardziej twardzi ludzie robią się przesądni.

Gdy wczesnym rankiem dosiadali koni, Syk krztusząc się od śmiechu, krzyknął do adiutanta:

– Kto tam za panem siedzi?

Spiorunowany wzrokiem kolegów umilkł i cofnął się na tyły gotowego do drogi pułku. Ruszyły patrole, a później stępa cały pułk. Wjechali w las i gliniastą, rzemienną drogą posuwali się na wschód. Cicho było, tylko konie parskały rześko po całonocnym wypoczynku. Ujechali kilka kilometrów, gdy gdzieś zza drzew zmaćcił ciszę suchy trzask karabinu. Adiutant pociągnął gwałtownie za uzdę, aż jego koń przysiadł na zadzie, później chybnął się do tyłu i spadł z siodła.

Wysłany na poszukiwanie szwadron ruszył tyralierką w las. Wrócił po pewnym czasie nikogo nie znalazłszy. Siwek adiutanta stał kilkadziesiąt metrów przed czołem kolumny i zdawało się czekał, aż pułk ruszy w dalszą drogę. Gdy posłani by go złapać ułani zbliżali się do niego, kłusował przed siebie i znów przystawał czekając. Wreszcie, po

paru nieudanych próbach, dano mu spokój. Siwek nie dał się złapać także na kilku następnych postojach. Stał sam, zawsze oddalony na kilkadziesiąt metrów od obozowiska. Gdy pułk wyruszał w drogę, wysuwał się do przodu i szedł przed jego czołem.

Przed Białą Cerkwią pułk dopadł wreszcie pozycji obronnych nieprzyjaciela. Rozwinięty w długą linię czekał na rozkazy. Wreszcie przygalopował goniec ze sztabu. Major Rombajło przeżegnał się szeroko, ułani wzniesli szable. Lawina koni ruszyła z kopyta. Siwek wysunął się na czoło. Wyciągnął się jak struna, brzuchem niemal dotykał ziemi. Dymy buchały wokół niego, świszczwały kule, a on kierowany niewidoczną ręką pędził coraz szybciej. Przesadzał rowy, krzaki i krater, szybszy zdawało się od wiatru. Piana pokryła mu pysk, płątami opadała z boków...

Ostani raz widziano go, jak wpadał w opłotki Białej Cerkwi\*.

---

\* Opowiadał mi tę historię płk. J. Zgorzelski, człowiek prawy i prawdziwy. Czy historia jest prawdziwa, czy też gdzieś zasłyszana lub wyczytana? Nie mam pojęcia. Tak mnie zainteresowała, że nie przyszło mi do głowy o to go zapytać. Teraz już jest za późno. Pułkownik zmarł wiele lat temu w Londynie.





Na imię mu było Stefan, ale ludzie nazywali go Stiepan, bo mieszkał w Zdołbicy, ukraińskiej wiosce, w której nie było wielu Polaków. Przed pierwszą wojną światową mieszkała ich tu duża grupa, skupiona przy okazałym empirowym pałacu Franciszka Lubomirskiego. Pałac spłonął w 1915 roku i nie został już odbudowany. Nie wrócił właściciel, rozjechali się po świecie domownicy, oficjaliści i służba.

A Zdołbica była wioską dużą i starą. W XV wieku należała do dóbr kniaziów Szyłowiczów. W 1497 roku, Wielki Książę Litewski Aleksander nadał ją Konstantemu Ostrogskiemu, hetmanowi Wielkiego Księstwa Litewskiego. Na Lubomirskich przeszła dopiero w XVIII wieku wraz z sąsiednim Zdołbunowem.

Jak to się stało, że ojciec kupił chałupę i hektar gruntu w tej Zdołbicy, Stefan nie wiedział. Dawno to było, jeszcze w carskie czasy. Gdy powstała Polska, jego życie nie wiele się zmieniło. Z sąsiadami rozmawiał po ukraińsku, z czasem, dla wygody, zaczął zwracać się w tym języku do żony i dzieci. Żona jego była Polką z zapadłej wioski gdzieś pod Tarnopolem. Rodzice mu ją znaleźli przez krewnych i dopilnowali by się ożenił z katoliczką. Tym katolicyzmem różnili się od sąsiadów.

Najbliższy kościół znajdował się w Zdołbunowie. Kaplicę, która stała przy dworze Lubomirskich, nie odbudowano po wojnie, tak, jak i spalony dwór. Teraz do kościoła trzeba

było iść piechotą z pięć kilometrów, bywali więc w nim rzadko. Na Boże Narodzenie, na Wielkanoc po święty ogień i wodę do kropienia bydła oraz domu od uroku, na św. Piotra i Pawła – dzień odpustu. Czasami też na Boże Ciało. Stiepan ubierał wtedy swoje odświętne, wyrudziałe od słońca ubranie. Nogawice spodni spuszczał na cholewy butów i cisnąc się w czasie procesji jak najbliższej księdza, śpiewał pobożnie i głośno. Od tego śpiewania wszy spacerujące mu po kołnierzu uciekały ze strachu i chowały się we włosach na głowie. Lubił Stefan śpiewać. Śpiewanie po polsku nie sprawiało mu trudności, gorzej było z mówieniem.

Osadnicy, którzy przybyli do Zdołbicy po 1920 roku, osiedlili się na jej peryferiach. Stiepan stykał się z nimi tylko na jesieni, gdy potrzebowali pomocy przy żniwach. Zasługą ich było nakrycie dachem jednego ze skrzydeł wypalonego pałacu, stojącego na wzgórzu porośniętym starymi dębami i założenia w nim mleczarni. Mleczarnię nazwano Stefcia i Stiepanowa chodziła do niej czasem po maślankę. Nie długo pracowała. Którejś nocy strawił ją ogień, tak jak w wojnę pałac.

Powodziło się Stiepanowi źle. Biedę klepał z rodziną. Ziemniaków z małego pola ledwo starczało do przednówka. Jedyna krowa, którą najstarszy syn wypasał w przydrożnych rowach, dawała trochę mleka dla najmłodszych dzieci, nie wystarczało go już na kwaśne do kartofli. Raz na rok zabijał Stiepan świnię, którą tuczył liebiodą i obierkami z ziemniaków. Słoniną gospodarzyła Jadwiga. Ostrożnie, tak, by wystarczyło skwarek na jak najdłużej. Okraszone kartofle jedli tylko w niedziele i święta.

W żniwa Stiepan pomagał w koszeniu pszenicy bogatym gospodarzom, jesienią podnajmował się do rąbania drzewa na opał w pobliskim Zdołbunowie. Znały go i lubiły wszystkie gospodynie. Był uczciwy i pracowity. Pomagały

mu jak mogły, wiedząc, że klepie biedę i że Jadwiga regularnie, co roku, rodzi mu chłopców.

– Po co ci tyle dzieci? Weź na powstrzymanie – mawiały.

– Wieczory długie, nafta droga – bąkał. – Szczo robyty?

Gdy Jadwiga Stiepana urodziła siódmego syna, zainteresował się tym sołtys i zawiadomił powiat oraz starostę. Rodzice siedmiu synów mogli prosić prezydenta na ojca chrzestnego. Wszyscy o tym wiedzieli. Poszło więc pismo z powiatu do województwa, a z województwa do Warszawy. Burmistrz zaprosił Stiepana by omówić sprawę.

Wydało się wtedy, że żadne z jego dzieci nie było jeszcze ochrzczone. Zbierał się swego czasu Stiepan, gdy urodził się mu pierwszy syn, planował z Jadwigą, ale do kościoła było daleko i księdzu trzeba coś dać za fatygę, a nie bardzo mieli. Później urodził się drugi syn. Planowali ochrzcić dwu naraz, aż urodził się trzeci...

Wyszedł Stiepan od burmistrza nie wierząc szczęściu. Przez kilka tygodni chodził napuszony jak paw. Jadwiga wmówiła sobie, że skończył się ich okres biedy i obiecywała dzieciom bogatą przyszłość. Wiadomo, kum krewniaków i chrzestniaków wspomóże, bo taki kum to ma z czego.

– Samego prezydenta za kuma będę miała – opowiadała sąsiadkom stając przy płocie. – Nie wielu on takich jak my krewniaków w Polsce ma, biedy teraz u nas nie będzie. Bogaty on. Ho, ho. W zamku mieszka jak hrabia czy książę... A Iwaśko, co nam miedzę co wiosny podoruje, niech uważa. Zaorze Iwaś, to Stiepan zaraz do Warszawy się wybierze. Daleko mówicie? Nie bójcie się, w tydzień tam i z powrotem obróci. Do prezydenta pójdzie. Kumie, powie, Iwaś mnie miedzę zaorał. I kum będzie wiedział co robić. Wojsko przyśle, krewniakowi nie odmówi. Do pierdła Iwasia posadzi.

Pewnej niedzieli prawie cała ludność Zdołbunowa próbowała wcisnąć się do kościoła. Z Łucka przyjechał woje-

woda zastępujący prezydenta. Starosta i burmistrz przyszli w żakietach i sztuczkowych spodniach, z melonikami w ręku. Starościna, która miała być matką chrzestną, wystąpiła w kapeluszu ozdobionym strusimi piórami, po który jeździła aż do Lwowa. Jadwiga ubrała chyba wszystkie posiadane jubki i wyglądała jak kopa siana.

Po nabożeństwie usunięto z przed ołtarza obity czerwonym pluszem fotel wojewody, który zawsze stał w zakrystii, czekając na przyjazd biskupa. Dwu mężczyzn przyniosło z kruchty dużą dębową chrzcielnicę. Zakrystian zaczął ustawiać szeregami, według wzrostu, synów Stefana. Obok najmniejszego stanęła Jadwiga z najmłodszym na rękach.

Chłopaki patrzyli dziko na zebranych, spode łba. Strach ich ogarnął. Tylu ludzi jeszcze nie widzieli. Przeszępowali z nogi na nogę, nie przyzwyczajeni do bucików, które im kupiono z funduszy miejskich. Dwu najmłodszych rozpląkało się, gdy zakrystian zapalił im świece, zaczęło wycierać oczy rękawami białych koszul. Zasmarkali się. Podskoczyła z pomocą Jadwiga i przetarła im twarze rąbkiem spódnicy. Wojewoda z starościna stanęli za dziećmi.

Gdy z zakrystii wyszedł ksiądz poprzedzany przez ministranta, czteroletni Adaś podszedł do napuszonego z dumy ojca i pociągnął go za nogawicę spodni.

– Tatka powiedział – scać mnie się chce. Jak nie wyjdziem zara, to puszcę w sztany.

Śmiechem po kościele poszło. Uśmiechnął się też wojewoda i kiwnął przyzwalająco głową. Cztery lata czekał Adaś na chrzest święty, więc parę minut zwłoki różnicy już mu nie robi.

## POJEDYNEK

*Edkowi Dzieduszyckiemu*

Zosia miała szalone powodzenie. Jej koleżanki o takim powodzeniu nie mogły nawet marzyć. Zapraszano ją na wszystkie potańcówki, bo już swoją obecnością gwarantowała przybycie nawet trudnych do zwabienia kawalerów. Tłoczyli się przy niej kołem, zaniedbując resztę panien. Kłóciła ich przykrywając długimi rękami duże, niebieskie oczy i wybuchając bez przyczyny dźwięcznym i zalotnym śmiechem. Tańczyła ze wszystkimi tak, że każdy z panów był gotów przysiąc, że do niego czuje największą sympatię.

Trzeba jej przyznać, że była ładna. Szczupła, o pięknej cerze, czarnych jak krucze skrzydła włosach i najzgrabniejszych w miasteczku nogach. Obdarzona była też pięknym głosem i gdy nieraz, wtórując sobie na gitarze śpiewała najnowsze tanga, tyle uczucia w śpiew wkładała, że panom topniały serca a paniom toczyły się łzy z oczu. Tańczyła świetnie i chętnie, a jak się śmiała, to jakby dzwoneczki dzwoniły w kościele na podwyższenie.

Czas jej było i mogła wyjść za mąż za kogo by chciała, ale ona czekała pomimo nacisków rodziców i swach. Książę jej się marzył jakiś, albo i hrabia, ale w małym miasteczku kresowym trudno ich było spotkać.

Aż pewnego razu, do Elżuni, córki burmistrza, przyjechał na urlop kuzyn, porucznik ułanów, Adaś Szkocki. Zo-

baczyła go Zośka na imieninach koleżanki i od razu wiedziała, że to ten, na którego czekała. Przetarła z ułanem cały wieczór, pomimo upomnień matki, że nie wypada. Czarowała go też i oczarowała.

Przystojny był ten Adaś, więc nic w tym dziwnego. Szczupły, wysoki, o talii jak u dziewczyny, podkreślonej jeszcze świetnie skrojoną kurtką i o oczach niebieskich jak kwiaty niezabudek, a włosach tak jasnych, jak sztuka lnu wybielona przez słońce.

W parę miesięcy później odbył się ich ślub. Dumna jak paw szła Zośka do ołtarza. Gdy młodzi wychodzili z kościoła tunelem obnażonych szabel kolegów Adasia, nie mogła ukryć radości na widok zazdrosnych min koleżanek.

Pierwsze miesiące w garnizonie męża upłynęły jej jak we śnie. Kochała Adasia i swą urodą budziła sensację. Wszyscy ją lubili, od wąsatego pułkownika począwszy, a na najmłodszych podporucznikach, kolegach męża skończywszy. Ci ostatni otaczali ją niekończącą się adoracją. Bawili ją, nadskakowali, wypełniali każde życzenie, przynosili kwiaty i gremialnie się w niej kochali.

Ale życie garnizonowe na czas dłuższy nie było ciekawe. Uregulowane przypisami, monotonne, zależne od godzin służby Adasia. Zośka coraz częściej odczuwała samotność czekając aż mąż wróci. Z paniami pułkowymi nie wiele miała wspólnego, w większości były od niej dużo starsze. Młodzi koledzy męża byli kawalerami, więc nie miała koleżanek w swoim wieku.

Nawet nie zdawała sobie sprawy jak to się stało, że zaczęła z nudów flirtować z bawiącym ją pieprznymi ploteczkami porucznikiem Kowalskim i jak ten flirt zamienił się w romans. Zerwała go szybko, wystraszona tym, co zrobiła. Szkoda jej było Adasia, którego wciąż kochała.

Po Kowalskim już łatwiej zdobył ją zgrabny jak baletmistrz porucznik Józio Później byli inni, ale żadnemu nie oddała serca. Wciąż kochała Adasia i zdradzała go właściwie z nudów i bo nie mogła opanować nie okiełzanego temperamentu. Wreszcie zaczęto mówić o jej romansach w kasynie i jak to zwykle bywa, mąż tylko o nich nie wiedział. Zaczęli się jej niedyskrecjami gorszyć odtrąceni kochankowie, a najbardziej, najszybciej odepchnięty porucznik Kowalski. Uważał się za don Juana i lubił się chwalić, że żadna kobieta mu się nie oprze. Opowiadał szeroko, że to on zerwał z Zośką, bo miał jej już dosyć. Gdy słyszał kto u niej teraz bywa, wydymał pogardliwie usta i mówił jak cham:

– Wie, że na tamten świat nie zabierze, to stara się jak najszybciej zużyć.

Kiedyś, przy brydżu był partnerem Adasia i nie zauważył, że ma w ręku atut, którym mógł wziąć lewą.

– Uważaj na swoje karty – upomniął go Adaś.

– A ty na swoją żonę – odciął się Kowalski. Nie znosił gdy mu ktoś zwracał uwagę.

Szkocki przybladł i podniósł się z krzesła.

– Jak mam to rozumieć? – wykrztusił przez zaciśnięte zęby.

– Jak chcesz.

Adaś pochylił się przez stół i trzasnął Kowalskiego w twarz.

Wrócił do domu roztrzęsiony i w czarnym jak chmura gradowa nastroju. Zośce o całym zajściu nie powiedział, ale z miejsca zauważyła, że coś jest nie w porządku i zaczęła pytać. Nie raczył odpowiedzieć. Wystraszyła się dopiero na drugi dzień, gdy Adaś nie poszedł na służbę i przyszli sekundanci Kowalskiego.

W garnizonie zawrzało. Adaś był ogólnie lubiany, jak też zresztą i porucznik Kowalski, pomimo, że miał niewyparzoną gębę. Adiutant pułku, którego uproszono na rozjemcę, przewracał godzinami kartki kodeksu honorowego, nie wiedząc jak wybrnąć z sytuacji. Lubił obu oficerów i nie chciał, by któregoś pozbawiła życia kula z pistoletu.

W oznaczonym dniu, o świcie, grupa oficerów brnęła po wysokim śniegu, do pobliskiego zagajnika. Porucznicy Szkocki i Kowalski ze swoimi sekundantami, adiutant Morkowski i pułkowy lekarz Stecki, niosący torbę z opatrunkami. Poranek był mroźny i śnieg skrzypiał pod butami. Dobrnęli do pierwszych drzew. Pojedynkujący się stanęli naprzeciwko siebie oddzieleni przepisową ilością metrów. Adiutant kazał im zdjąć płaszcze i kurtki. Pozostali tylko w koszulach. Mróz był siarczysty więc z miejsca zaczęli szcząkać zębami. Z nerwów i z zimna. Wtedy Morkowski, jako rozjemca odchrząknął i zaczął mówić:

– Według przepisów kodeksu honorowego przysługuje mi prawo wezwać panów po raz ostatni, by podali sobie ręce i zaniechali rozlewu krwi. Pan, panie poruczniku Kowalski odwoła obraźliwe słowa, których pan użył, przeprosi...

Morkowski mówił długo, zapominając o czasie i delektując się swoim krasomówstwem. Stojący tylko w koszulach Szkocki i Kowalski, coraz głośniej szcząkali zębami. Ręce im zaczęły latać jak w ataku febry. Sekundanci zrozumieli, że adiutant znalazł sposób uratowania ich kolegów od rozlewu krwi, a może nawet kalectwa. Jeszcze parę minut i będą tak się trząść, że nie potrafią nawet w konia trafić, gdyby postawiono go pomiędzy nimi.

Obaj porucznicy odmówili podania sobie ręki. Otworzono pudło i podano do wyboru pistolety. Morkowski podniósł rękę. Gruchnęły, niemal jednocześnie dwa wystrzały i poszły echem po czubach drzew, płosząc wrony. Zośka,

której obecności tu nikt się nie spodziewał, wychyliła się zza pnia grubej sosny. Jęknęła głucho, zakręciła się w miejscu i upadła plecami na śnieg. Jego biel zaczerwieniła krew sącząca się z jej czoła\*.

---

\* Pojedynek odbył się w garnizonie jednego z pułków wołyńskich. Nazwiska jego bohaterów są celowo zmyślone. Po ukazaniu się tego opowiadania w 1986 roku, otrzymałem list od świadka pojedynku, stwierdzający, że kula tylko Zośkę zadrasnęła. Po deportacji i wyjściu z Rosji z armią gen. W. Andersa, pracowała w polskim szpitalu polowym.





Przypadkowo znalazłem się na małym cmentarzu w Paryżu. Włóczyłem się bez celu po mieście, zobaczyłem otwartą bramę i kilka okazałych pomników. Zaszedłem do środka wiedząc jak piękne są cmentarze paryskie. Pod murem stało kilka dwuramiennych krzyży prawosławnych. Skąd tu się wzięły? Jeden był nowy. Zatrzymałem się na chwilę i odczytałem ukraińskie nazwisko oraz informacje: urodzony w Dermaniu, zmarł w Paryżu i dwie daty.

Pomodliłem się za nieznanego Wołyniaka. Waśniliśmy się kiedyś i obu nas zapewne ten sam los rzucił na obczyznę. A Dermań znałem i byłem w nim kilka razy. Każdego lata z harcerzami ze Zdołbunowa wyjeżdżałem na obóz do Swiatia, tylko o kilka kilometrów oddalonego od Dermania.

Swiatie było małą wioską o tuzinie domów rozrzuconych wzdłuż piaszczystej drogi ciągnącej się obok jeziora. Droga dochodziła tylko do bramy starego, drewnianego dworu po drugiej jego stronie, dalej już zieleniły się na piaskach lasy sosnowe. Obóz rozbijaliśmy obok źródła bijącego lodowatą i krystaliczną wodą, spływającą wąskim strumieniem do jeziora. Z tego źródła czerpaliśmy wodę do kuchni, ale myśleliśmy się w jeziorze, bo źródłana woda była tak zimna, że z miejsca drętwiały zanurzone w niej ręce.

Do Swiatia droga ze Zdołbunowa prowadziła właśnie przez Dermań. Na obóz jechaliśmy wozami gospodarzy odbierających podatek miejski, zwany szarwarkiem. Ze Swiatia chodziliśmy do Dermania z piosenkami, które śpiewali-

śmy przy ognisku rozpalonym na placu przed dawnym dworem Lubomirskich, w którym kilka zakonnice prowadziło sierociniec dla dzieci\*.

Dermań był wioską dużą i zamożną, mówiono, że największą na Wołyniu. Bielone domy otoczone były starymi sadami owocowymi. Mieszkali w nich Ukraińcy patriotyczni i znani z szowinizmu.

Wioskę otaczały Góry Dermańskie, które oddzielała od ciągnących się dalej Wzgórz Pełczańskich, opiewana przez Słowackiego Ikwa. Ludzie mieszkali tu już od kilku tysięcy lat. Kamienne grotty i siekiery z krzemienia znajdowano na polach, drogach i w piasku pod sosnami w lesie. W czasie wiosennych orok, miejscowy nauczyciel wysyłał na pola dzieci z koszykami. Idąc za pługiem zbierały kamienne narzędzia, tak, jak rolnik ziemniaki. Te skarby wzbogacały później Muzeum Wołyńskie w Łucku. Pewno te wołyńskie wyroby krzemienne są znane archeologom całego świata, bo będąc kiedyś w kanadyjskim muzeum w Toronto, oglądałem je w jednej z gablot. Pochodziły z jakiejś wioski spod Równego. Skąd tam się wzięły?

Nad Dermaniem, na porośniętym starymi dębami wzgórzu stał zabytkowy klasztor prawosławny. Istniał już od połowy XII wieku, kiedy to książę Bazyli Piękny Ostrogski ufundował tu obronny monastyr pod wezwaniem św. Trójcy. Dawniej przy klasztorze mieściła się słynna szkoła, w której uczył się min. Dymitr Samozwaniec.

Kiedy biskup łucki Cyryl Terlecki i Hipacy Pociiej Włodzimierski przystąpili do Unii, tutejszy klasztor, po objęciu go przez bazylianów, został najważniejszym wśród siedmiu klasztorów unickich na Rusi. Od 1585 roku do 1605 mieściła

---

\* Sierociniec w Dermaniu prowadziły siostry ze Zgromadzenia Franciszkanek Rodziny Maryi – przyp. „WzW”.

się w nim drukarnia słowiańska. Z Dermania wyszło kilku metropolitów, a najznakomitsi ojcowie kościoła słowiańskiego – Samotycki, Sakowicz, Dubowicz – byli tu archimandrytami. Gdy po rozbiorach zniesiono unię i nastąpiła kasacja zakonu bazylianów, monaster przejęli prawosławni. Piękna cerkiew pobazylikańska została cerkwią parafialną Dermania. Wspaniałą bibliotekę, starodruki i rękopisy wywieźli Rosjanie w okresie pierwszej wojny światowej i do monasteru już nie wrócili.

Gdy byłem w Dermaniu, w klasztorze mieściło się seminarium prawosławne i rezydował w nim archimandryta. Piękną barokową bramę wjazdową zamieniono na dzwonicę, ale średniowieczna zabudowa obronna nie wiele ucierpiała w ciągu wieków i niewiele się zmieniła. Na podwórku ogromna studnia obramowana kamieniem i obrośnięta mchem zadziwiała głębokością. Wydawała się być bezdenną, bo w jej ciemnym wnętrzu nie widać było płyty wodnej. Kilkumetrowy, dębowy walec owijały łańcuchy, na których wisiały drewniane cebry, okute metalowymi obręczami. Obracało się walec chwytając za kołki, wystające z pionowo ustawionego, chyba dwumetrowego, drewnianego koła.

Carskie wrota w cerkwi i ściany korytarzy klasztoru pokryte były od podłogi po sufit błyszczącymi od srebra ikonami. Dużo ich było i nikt chyba nie zadał sobie trudu by je policzyć i skatalogować.

Na pobliskim klasztorowi wzgórzu zachowały się ruiny zamku pierwszych właścicieli Dermania – Ostrojskich. Gdy w XVIII wieku wioskę objęli Lubomirscy, wybudowali tu dwór, który w czasie pierwszej wojny światowej zniszczyła ludność miejscowa. Odnowiony za niepodległości mieścił ochronę prowadzoną przez zakonnice katolickie. Dwór otaczał niegdyś piękny park, założony przez słynnego ogrodnika Dyonizego Miklera, Anglika pracującego dla Lu-

bomirskich, o którym już wspominałem z okazji Równego. Niszcząc dwór, chłopci wycięli też i stare drzewa.

W XIX wieku Lubomirscy zaczęli tu budowę wspaniałego pałacu, którego nigdy nie ukończono. Po śmierci Jadwigi z Dermania Lubomirskiej, jej syn sprzedał dobra, niedokończony pałac i park jakiemuś Rosjaninowi, który rozparcelował ziemię a pałac oddał na rozbiórkę.

Dawno, dawno temu, gdy lasy dermańskie należały jeszcze do Ostrogskich i obfitowały w zwierzynę, jeden z nich wybrał się z oszczepem na niedźwiedzia. Gdy przedzierał się przez gęste poszycie, niespodziewanie stanęło przed nim, wypłoszone z matecznika ogromne zwierzę. Ostrogski wbił mu ostrze w piersi, a koniec drzewca zaparł w ziemię. Pod naporem niedźwiedzia oszczep pękł, a uzbrojone w pazury dwie potężne łapy zawisły nad myśliwym. Tylko uciezka mogła go uratować. Książę rzucił się gwałtownie do tyłu. Łapy niedźwiedzia opadły błyskawicznie w dół, zdzierając kaftan z jego pleców, wydzierając też płat materiału z szarawarów i obnażając arystokratyczne siedzenie.

Skoczyła służba na pomoc z toporami, kilka oszczepów wbiło się w kudłate ciało niedźwiedzia i powaliło go na ziemię.

– Der mene, darł mnie – powiedział pobladły książę i tak powstała nazwa Dermania.

W jakiś rok po zamordowaniu ministra Pierackiego zaczęto przebąkiwać, że mieszkańcy Dermania chcą ogłosić go wolną wsią na wzór wolnego miasta Gdańska. Prawdy w tym zapewne wiele nie było i jakiś kawalarz to wykombinował. Śmiali się ludzie, że wieś będzie się nazywać Republiką Gołopupiec i będzie miała pupę Ostrogskiego w herbie. Niby tę, którą niedźwiedź obnażył pazurami z hajdawerów.

Przyszła wojna i sowieci. Później, po wycofaniu się Niemców, znowu wrócili i pozostali na tych terenach niemal pięćdziesiąt lat. Dermańskich chłopów pewno wtłoczono do kołchozów. Nie wiem co się stało z właścicielami dworu w Swiatiu. Nawet nazwiska ich nie zapamiętałem, chociaż pamiętam parę siwych i miłych ludzi. Tam gdzie obozowali harcerze, pewno przebiły się lasami oddziały UPA, zanim nie rozproszyły ich wojska sowieckie.





## SPOTKANIE Z DNIEM W CZORAJSZYM

Zaburczał dzwonek u drzwi, więc wstałem z krzesła i poszedłem otworzyć. Oniemiałem. Ruszyć się z miejsca nie mogłem, ani wykrztusić słowa powitania. Przetarłem ręką oczy, by sprawdzić czy nie śpię i czy mi się nie śni.

Stałem twarz w twarz z historią. Jak to? – zapytałem sam siebie. – Tu? W Londynie? W drugiej połowie dwudziestego wieku?...

\* \* \*

... a już wtedy niemal pochowałem na cmentarzu pamięci ten okres mego życia i przysypałem go ziemią zapomnienia. Część historii narodu umiera przecież z każdym pokoleniem. To, co dla pewnych ludzi było sprawą codzienną, wypełniało dom jakąś treścią, dla następnego pokolenia staje się wspomnieniem wypranym z ciepła i bezosobowym.

Już tylko garstka pozostała tych ludzi, którzy pamiętają Sienkiewiczowskie kresy, którzy sentymentalnymi wspomnieniami na nie wracają. Śmierć kosi ludzi, którzy młodość spędzili w kresowych dworach i miasteczkach, którzy polskie szkoły w Kijowie, Żytomierzu czy Smoleńsku, dla których Polska była jeszcze od morza do morza, którzy Litwę czy Ukrainę uważali za kraj ojczysty, za część Rzeczpospolitej.

Kurczy się też pokolenie wychowane lub urodzone w Polsce Niepodległej, które przez tradycje rodzinne i przez opowiadania ojców oraz dziadów było powiązane z XIX wiekiem, dawną Rzeczpospolitą, mieszkało we wschodnich województwach przedwojennych. Ze śmiercią tego pokolenia skurczą się sentymentalne granice Polski i zmieni się oblicze narodu.

Parę milionów Polaków, których przodkowie od pokoleń przelewali krew o te ziemie i żałować należy, że często pobratymczą, wynaradawia się teraz za kordonem, zapomnianych i odciętych od pnia ojczystego. Obecny reżym w Warszawie zapomniał o nich i sprezentował Moskwie. A ta wyrównała wszystkich nędzą. I tych, którzy od wieków starali się przeschęcić na te tereny humanizm Europy, i tych którym obiecała wolność pozbawiła tej wolności i stłumiła każde dążenie do niepodległości. Wychowane na sfalszowanej historii pokolenie żyjące w Kraju nic prawie o roli kresów w życiu narodu nie wie i zobojętniało na ich los. Zobojętniało też na los narodów z którymi przez kilka wieków dzieliliśmy ten sam los. Wśród kresowych niedobitków zacierają się w coraz odleglejszych wspomnieniach obrazy młodości, jak rysy bliskich ludzi na pożółkłych i wyblakłych fotografiach. Z upływem czasu tęsknota za ziemią urodzenia nachodzi nas coraz rzadziej, by czasami tylko ze spotęgowaną siłą, wyzwoloną jakimś przypadkowym spotkaniem z przeszłością, wybuchnąć w niespodziewanym przeżyciu.

... Otworzyłem drzwi i stanąłem twarzą w twarz z historią. Odżyły wspomnienia i tęsknoty. I nie tęskniłem za Warszawą, ani nie kusily mnie dymiące kominy zniszczonego ekologicznie Śląska. Tęsknota mnie ogarnęła za złotymi łanami pszenicy na Wołyniu, za drzewami wiśni obsypanych białym kwieciami, polami żółtych azalii o odurzającym za-

pachu i konkurującymi z nimi drzewami czeremchy po lasach. Za krajem urodzenia i lat dziecięcych, który najbardziej się kocha. Zdaję sobie sprawę z tego, że uchodźca przebywający na obcej ziemi, zawsze jest trochę oderwany od teraźniejszości i topi chandry w ucieczce w dzień wczorajszy.

Dla mnie przecież powstanie styczniowe jest jeszcze tak bliskie jak dla moich synów druga wojna światowa. W mieście rodzinnym widywałem powstańca, który chodził w granatowym mundurze i był otoczony ogólnym szacunkiem. Zapamiętałem, z jego opowiadań na jakiejś pogadance dla harcerzy, że był w oddziale Władysława Ciechońskiego. Zaglądnąłem do historii. Okazało się, że to był największy w powstaniu 1863 roku oddział na Wołyniu, liczący około 700 ludzi. Oprócz Ciechońskiego dowodził nim dr Stanisław Kraszewski i Chraniecki. Stoczył w maju bitwę pod Mińkowcami koło Sławuty, w której zginęło 130 osób, min. Kraszewski i kapelan oddziału ks. Tarkowski. Reszta wycofała się na Ostróg i powstaniec, którego widywałem, znalazł się chyba w grupie tych szczęśliwców i przedarł się z nimi do Galicji.

Opowiadała mi o powstaniu na Białejrusi babka, której wujek walczył w szeregach jakiegoś ugrupowania. I pomimo, że urodziła się w parę lat po jego wybuchu, wyrosła na tyle, że gdy wuj wrócił z Syberii rozumiała i zapamiętała jego opowiadania. Syn babci, najstarszy brat mojej matki, walczył już w oddziałach gen. Dowbór-Muśnickiego, do których ciągnęła młodzież kresowa i w jego szeregach zginął bez wieści.

A babcia urodziła się w mohylewskiej guberni, w okolicy szlacheckiej, w której co drugi mieszkaniec nazywał się Lipkowski albo Lipkiewicz i był oczywiście Polakiem i katolikiem. Jak ten polski zaścianek szlachty zagrodowej uchwalał

się po powstaniu jeszcze listopadowym, w którym dziad babci brał udział i uniknął deportacji – nie bardzo wiem. Może przepisano jego mieszkańców do włościan lub odnodworców?

Liczny udział szlachty zagrodowej w powstaniu z 1831 roku, otworzył oczy władz rosyjskich na liczebność i patriotyzm żywiołu polskiego na kresach. Na dodatek „buntowszczyki” zdołali zarazić dążeniem do wolności liczne rzesze białoruskiego chłopstwa, które garnęło się do oddziałów powstańczych, szczególnie Kosti Kalinowskiego, powieszono go później w Wilnie na placu Łukiskim. Zaczęły się deportacje za Wołgę i na Kaukaz. W 1832 roku wywieziono z Ukrainy i Białorusi 50000 rodzin polskich. W 1832–1834 roku wydano zarządzenie nakazujące sprawdzenie praw do stanu szlacheckiego wszystkich osób do niego należących. Szaraczkowie przeważnie nie mieli papierów rodzinnych i nadań, więc zapisywano ich gremialnie do tzw. odnodworców [posiadaczy domu] lub włościan. Od 1831 roku do 1848 ubyło ze stanu szlacheckiego na samej Rusi dwie trzecie rodzin. Było to tragedią dla żywiołu polskiego. Włościanin nie miał prawa kształcenia dzieci w szkołach państwowych, a szaraczek nie miał pieniędzy na prywatne, więc chłopiał i zaczynał posługiwać się językiem miejscowym. Różnił się tylko od otoczenia przynależnością do kościoła katolickiego. Żenił się też z katoliczką, bo według rosyjskiego prawa, dzieci z małżeństw mieszanych musiały być chrzczone w cerkwi prawosławnej.

Zaścianek babci, jak już napisałem, zamieszkiwali mówiący oczywiście po polsku Polacy. Litewskiego przydomku Vebkois przed jej nazwiskiem nie potrafię wytłumaczyć. Dokumenty rodzinne i fotografie zabrało NKWD w czasie aresztowania mego ojca w lutym 1940 roku. Nie widziałem go już więcej. Rozstrzelano go w którymś więzieniu na

Ukrainie. Opowiadała mi babcia o polskich dworach kresowych, o dziadku, który opuścił biedną wioskę na Żmudzi i pracował po tych dworach jako ekonom, zanim sam dorobił się mająteczku i gorzelni pod Smoleńskiem. Nazywał się Jodogalwis\*.

W tym mająteczku urodziła się moja matka, w Smoleńsku też została ochrzczona w polskim kościele i w tym mieście chodziła do szkoły. Smoleńszczyznę uważała za swój kraj rodzinny. W paszporcie angielskim, w rubryce „miejsce urodzenia” napisała: Smoleńsk-Polska, aby Anglicy, broń Boże, nie uważali jej za Rosjankę. Ja to jeszcze rozumię, czy potrafią zrozumieć moi synowie?

Jakiś wuj babci, Grzegorz, handlował na dużą skalę zbożem i pszenicą. Polską pszenicą handlował, mówiła zawsze babcia, bo chociaż rosła gdzieś pod Smoleńskiem, jednak na polskich gruntach i w polskich majątkach. Wuj ten dorobił się dużych pieniędzy, sprowadził sobie z Niemiec samochód, a w Warszawie kupił parasol. Jeżdżąc samochodem po polnych drogach, płoszył konie i ludzi. Nikt takiego dziwa tu jeszcze nie widział. Posiadanie parasola natomiast, wuj przepłacił życiem. Szedł kiedyś w burzę, wiatr szarpnął parasolem i wytrącił wuja z równowagi. Wuj upadł i uderzył głową o kamień. Wyrwany mu z rąk parasol wiatr gdzieś poniosł. Po długich poszukiwaniach znaleziono wuja już martwego. Białoruski chłopak, posłany by o tym nieszczęściu zawiadomił rodzinę, powiedział:

– Nie ma już Grzegorza ani parasola.

„Ani parasola” – nie omieszkał dodać. Musiał być ten parasol ważny w jego oczach, skoro w tak tragicznym momencie o jego stracie nie zapomniał poinformować. Był

---

\* Bardziej szczegółowo traktuję o tym w I tomie mojej trylogii kresowej, pt. *Smak Miodu*, która ukazała się nakładem Wydawnictwa Kurpisz w Poznaniu.

pewno symbolem zamożności i światowości właściciela, nakazującym szacunek i wzbudzającym zazdrość. Przyjęło się później to powiedzenie chłopaka w mojej rodzinie i jak ktoś nie mógł czegoś znaleźć to mówił: „nie ma Grzegorza ani parasola”... i albo kłął, albo modlił się do św. Antoniego. Zależnie od płci poszukującego zguby.

Babcia musiała opuścić majątek w czasie rewolucji. Dziadek uciekł w ostatniej chwili przez okno do sadu za domem, gdy zrewolucjonizowani chłopci dobijali się do drzwi frontowych. Wspominali, tęsknili dziadostwo za Smoleńskiem, tak jak ja dziś tęsknię za Zdołbunowem. Przechowywali pieczołowicie dokumenty własności ziemi, ciągle łudzili się, że wrócą na kresy, bo okrojony Wołyń na którym zamieszkali, to był już dla nich daleki zachód. Nie zostawi Moskalom naszej ziemi Piłsudski – mówili. – Nie zostawi tych wszystkich tam Polaków. A wtedy jeszcze dwa polskie autonomiczne rejony istniały na sowieckiej Białorusi i Ukrainie. Dziadostwo mówili takim pięknym kresowym akcentem, którego dziś się już nie słyszy. Słów dziwnych używali. Kto dzisiaj wie co to jest swireń czy kładówka? Kto dzisiaj ślezyki na Wigilię podaje?

Moja matka wyszła za Wołyniaka, spolszczonego Rusina. Ktoś powiedział kiedyś, że granica Polski i Ukrainy przebiega na kresach przez środek łoża małżeńskiego. Wieleż w tym było racji. Niestety, dzisiaj już tego powiedzieć by nie mógł. Trudno stało się dzisiaj zrozumieć, że np. metropolita Szeptycki, wnuk jakże polskiego Fredry, był patriotą ukraińskim, a jego bracia polskimi generałami. Że Ukraińcem czuł się książe Karasiewicz-Tokarzewski, a jego brat, polski generał szedł na odsiecz Lwowa.

Ostatni raz zetknęła się moja matka ze Smoleńskiem, gdy wywożono nas w kwietniu 1940 roku na Syberię. W przeddzień deportacji przyszedł oglądnąć nasz dom kole-

jarz rosyjski, twierdząc że mu go przydzielono. Już wiedział o planach NKWD i o dzień się pośpieszył. Jakież zdziwienie ogarnęło matkę, gdy poznała w nim kolegę ze szkoły w Smoleńsku.

\* \* \*

Już po wojnie, kresy znowu ożyły w naszym domu w Londynie, w częstych wspomnieniach i opowiadaniach, gdy matka wyszła za mąż za podpułkownika Michała Mińkowskiego. Za zaszczyt uważam, że go poznałem i że zostaliśmy przyjaciółmi, bo był wyjątkowym człowiekiem.

Pochodził ze starej rodziny, której kolebką była Białoruś. Lubił o sobie mówić, że jest Białorusinem. *Natione Polonus, gente Ruthenus*. Jeden z jego przodków nazywał się Mińko, więc Michał się złościł, jak ktoś opuścił przecinek nad literą „n”, gdy pisał jego nazwisko. Dumny był z tego rotmistrza Mińka, o którym Niesiecki pisał, że w 1568 roku „pod oppugnacją Uły, bramę ubiegłszy wyciął y działa oblężencom odebrał”.

Nie karmazynów to była rodzina, ale jedna z tysięcy, która kresy zamieszkiwała. Niesiecki wymienia tylko jakiegoś stolnika i pisarza grodzkiego w Mińsku, jakiegoś strażnika smoleńskiego i to wszystko. Wysokich godności Mińkowscy nie piastowali. Dodaje Niesiecki, że „y na Wołyniu przedtem dziedzicyli, bo metryka Wołyńska z 1528 Demacha y Sienka wspomina”.

Było na Wołyniu i Podolu kilka wiosek i miasteczko Mińkowcami zwanych. Wspomniana już wioska pod Sławutą, pod którą odbyła się 22 maja 1863 roku słynna bitwa partii, w której brał udział Roch Wierzbicki – znany mi powstaniec ze Zdołbunowa. Druga leżała nad Ikwą w powiecie krzemienieckim, w której zachował się do wojny piękny

dwór. Mińkowscy, którzy za kolebkę rodzinną ją uważali mieszkali przed wojną w pobliskich Podolanach. Posiadali dokumenty i nadania, a za protoplastę rodu uważali jakiegoś Bazylego, nobilitowanego w 1504 roku.

Największe Mińkowce to miasteczko położone o 45 kilometrów na południe od Kamieńca Podolskiego, nad rzeką Uszycą. Miało czworoboczny rynek z renesansowym ratuszem i nazywano je „małym Zamościem”. W końcu XIX wieku gospodarzył tu ekscentryk i feudał Ścibor-Marchocki, uważający swe dobra za udzielne państwo. Tego nie mogli znieść miejscowi „uradnicy”. Gdy ich skargi doszły do Mikołaja I, ten napisał: „Pozwolić Marchockomu duraczitsa”.

Pisze wreszcie Niesiecki, że są „y w Prusiech tegoż herbu”. Ci z czasem zniemczeli. Na uniwersytecie w Królewcu wykładał w końcu XIX wieku matematyk Herman Mińkowski, autor wielu książek o teorii matematyki. Najgłośniejsza, o podstawach matematycznych szczególnej teorii względności, według niektórych badaczy była podstawą teorii względności Eisteina. W tymże czasie Oskar Mińkowski był profesorem uniwersytetu we Wrocławiu, gdzie prowadził badania nad cukrzycą, a Helmuta ceniono w Niemczech jako filozofa.

Pieczętowali się Mińkowscy herbem Niezgoda, w którym „ma być podkowa... we szrodku iey strzała żelazem prosto w dół obrócona, przez szrodek podkowy ...miecz przechodzi”. Nazwany ten herb Niezgoda, bo gdy między „dwoma bracią herbu Dołęga, niezgody się wszczęły, przyszło do tego, że brat brata zabił, więc na pamiątkę tego ekscesu, krzyż z herbu zdjęto, a miecz przez podkowę położono”.

Michał Mińkowski, jak wspomniałem, pochodził z białoruskiej linii rodu, chociaż jego ojciec mieszkał już w Rzeszycy nad Dnieprem i figuruje w Żytomierskim spisie



15. Ppłk M. Mińkowski w okresie, gdy był adiutantem 12 P.U. Podolskich w Białokrynicy na Wołyniu

szlachty. Michał nie miał szczęścia urodzić się na kresach. Przyszedł na świat w Warszawie, gdzie znalazła się jego matka w czasie pielgrzymki do Częstochowy. Nie mogę się nadziwić, że będąc w zaawansowanej już bardzo ciąży, wybrała się na pielgrzymkę.

Chcąc wychować dziecko w polskim duchu, rodzice Michała przenoszą się do Radomia i oddają syna na naukę do prywatnego gimnazjum.

W 1918 roku, Michał ucieka ze szkoły i wstępuje na ochotnika do wojska. Bierze udział w wojnie a zwolniony z wojska w końcu 1920 roku, wstępuje w Warszawie do gimnazjum im. Reja. Po jego ukończeniu zostaje żołnierzem zawodowym. Kończy Szkołę Podchorążych Kawalerii, z dobrą bo 8 lokatą i zostaje przydzielony do stacjonującego w Białej Krynicy, na czarną czereśnię kwitnącym Podolu Wołyńskim – 12 Pułku Ułanów Podolskich.

Można by powiedzieć, że wziął z nim ślub i nikogo bardziej od tego pułku nie kochał. Przeszedł z nim kampanię wrześniową i w ramach Wołyńskiej Brygady Kawalerii brał udział w znanej bitwie pod Mokrą. Dołączył też do tego pułku, odrodzonego już we Włoszech, gdzie wywalczył sobie krzyż *Virtuti Militari*, awansował i dosłużył się godności zastępcy dowódcy. To jego pułk wdarł się pierwszy na zbocza Monte Cassino we Włoszech i zatknął na jego szczycie proporzec pułkowy. Powiewał on nad zboczoną krwią górą aż do czasu pokąd nie doniesiono nań polskiej flagi. Trzeba było ludzi z kresów i ich bohaterstwa by otworzyć aliantom drogę na Rzym. Ta bitwa o Monte Cassino była największą zwycięską bitwą ludności kresowej z Niemcami w czasie ostatniej wojny, bo 2 Korpus Polski, który ją wygrał składał się z ludzi z kresów, deportowanych w 1940 roku do Rosji.

Darzę ten pułk dużą sympatią, bo w 1920 roku w zwycięskim natarciu zdobył on Kwasilów i mój rodzinny Zdoł-



16. Buńczuk – koń służbowy ppłk. M. Mińkowskiego w latach 1936–1939. Hodowla A. hr. Ledóchowskiego, majątek Smordwa koło Dubna

bunów, rozbijając okupujące go oddziały sowieckiej konnej armii. Toczył też boje w Równem, do którego jeździłem do gimnazjum, zdobywając szarżą kilku szwadronów strategicznie ważny cmentarz rówieński. Przed tym atakiem przegrupował się w Basowym Kącie położonym na południe od miasta, którego prehistoryczny kurhan oglądałem z okna wagonu kolejowego, jadąc codzień do szkoły. W Basowym Kącie było też więzienie i czasami widziałem więźniów pracujących w ogrodach warzywnych za jego murami. Jako pierwszorocznemu gimnazjaliście nie śniło mi się nawet, że za rok sam będę w nim siedział.

Przed deportacją na Syberię, najpierw trzymano nas na punkcie zbornym mieszczącym się w budynku synagogi w Równem. Po kilku dniach przewieziono do więzienia w Basowym Kącie. Udało mi się raz z niego wyjść i wrócić pociągiem do Zdołbunowa. Odwiedziłem kolegów, którzy byli na lekcjach w gimnazjum, co tak wystraszyło przysłałego z Rosji nowego dyrektora, że zatelefonował po milicję. Powiedział mi o tym woźny, więc poszedłem na dworzec kolejowy i wróciłem pociągiem do Basowego Kąta. Przywiozłem przy okazji worek mąki, który przechowywała matka mego ojca. Strażnicy przywitali mnie nawet z radością, bo myśleli, że uciekłem.

Po wojnie i ewakuacji 2 Korpusu z Włoch, Michał zaczął pracować nad historią swego pułku, którego tradycje sięgały wojen napoleońskich. Katalogował i gromadził po nim pamiątki. Był człowiekiem obowiązkowym i przywiązywał dużą wagę do prawdziwości i dokładności zebranych faktów historycznych.

Ślęczał każdy wolny dzień od pracy i często całe noce nad notatkami: zapisywał, sprawdzał, weryfikował, wnosił poprawki. Pracował ciężko fizycznie, ale nie myślał o sobie. Nie potrzebował dla siebie czasu, wakacji, każdą chwilę poświęcał pułkowi. W ostatnich latach życia, ciężko chorował na serce, ale nie zaprzestał ślęczeć nocami przy biurku. Spieszył się, bo wiedział, że pozostało mu nie wiele czasu. Matka znajdowała go rano z głową opartą o blat biurka, ze zwieszonymi rękoma, z których wypadło na podłogę pióro.

Lubił opowiadać o pułku, o jego bojach, o Podolu i Wołyniu. O sobie mówił mało bo był skromny i to go żenowało. Opowiadał o Pietniczanach koło Winnicy, w których gościł w 1917 roku, pierwszym ułanom dwunastakom udzielił ich gospodarz, hrabia Z. Grocholski. Pułk odradzał

się z wydzielonego oddziału żołnierzy Polaków, służących w I Pułku Kirasjerów Gwardii rosyjskiej. Wspaniałe miejsce los wybrał pułkowi na kolebkę. Pałac Grocholskich przerebiony był z warowni, o której już w 1543 roku wspomina w swej lustracji – „diak gospodarski” Lew Patajewicz-Tyszkiewicz, jako o „Pietniczan horodni”. To w tych Pietniczanach wojewoda braclawski podejmował hucznie wracającego z Kaniowa, po spotkaniu z Katarzyną, Stanisława Augusta Poniatowskiego, ostatniego polskiego władcę tych terenów.

W 12 Pułku Ułanów Podolskich służyło wielu kresowiaków z najlepszych rodów. Oficerami w nim byli Radziwiłłowie i Grocholscy, a w epoce napoleońskiej Tyszkiewicz, Giedroyć i Rzysszczewski. Szkatuły nań nie żałowali. Radziwiłł zaopatrzył w szable [tzw. radziwiłłówki o 3 kabłakach na rękojeści], księżna Izabela Radziwiłłowa w mundury i tarcze z cyfrą 12 na orzełki, Z. Grocholski kilka pierwszych szwadronów gościł w Pietniczanach nie żałując koni ani obroku. Jeździł po swych włościach bałagulskim zaprzęgiem powożonym przez kozaka w hajdawerach i z oselędcem na wygolonej głowie. Prawdziwy pan kresowy, z literatury i z obrazów.

O zasługach ppłk. Mińkowskiego pisali po jego śmierci koledzy, zabrakło miejsca pisać o człowieku. A co to był za człowiek! Można by dla niego sparafrazować słowa sienkiewiczowskie wypowiedziane o Longinusie Podbipięcie: był czysty jak łąka. Grzeczny, o nieskazitelnych manierach, w ciągu 30 lat, które go znałem, nie słyszałem by zaklął. Nie znosił chamstwa i samą swą obecnością zmuszał obecnych, by zachowywali się jak dżentelmeni. Unosił się tylko, gdy ktoś wypowiedział krzywdzącą opinię o Polskim Wojsku lub jego 12 Pułku Ułanów Podolskich. Był najlepszym wzorem oficera wychowanego przez wojsko niepodległej Polski.

Marzeniem jego było zobaczyć historię pułku w druku. Nie doczekał się tego. Ukazała się w rok po jego śmierci i dostała nagrodę Stowarzyszenia Polskich Kombatantów. Zanim zmarł, pomimo zapracowania znajdował czas dla swoich wnuków, których lubił i bawił opowiadając o stoczonych bojach i swoich przygodach. Chciał im zaszczepić swoją miłość do Polski, kawalerii i kresów. Słuchali go z otwartymi ustami, a dziadzio patrzył na nich i tylko się uśmiechał. Raz opowiedział im, jak przechodził w czasie wojny granice. Wziął kurę, której związał nogi i żeby nie gdała owinął przylepcem dziób. Gdy nocą przekradał się do granicy, rzucił ją w krzaki. Kura biła skrzydłami, łamiąc badyle i gałęzie. Pilnujący granicy żołnierze biegli w kierunku hałasu, a dziadzio rzucał się w bok i bez trudności przechodził przez nie pilnowany odcinek.

Chłopcy patrzyli na niego z podziwem. Młodszy Stefan zapamiętał to opowiadanie i gdy nauczył się pisać, opisał przygody dziadka i wysłał na jakiś konkurs angielskiego piśma dla młodzieży. Dumny był, że konkurs wygrał i otrzymał w nagrodę aparat fotograficzny.

\* \* \*

Na historii rodzin kresowych, tych wielkich i tych małych, nieważnych, najlepiej widać postęp Azji w granice Europy. Kresowe zaścianki, majątki i miasteczka były forpocztami kultury zachodniej, oknami otwieranymi na Europę. Nie oparły się konsekwentnej i jakże podobnej w metodach przemocy białego, a później czerwonego caratu. Napisałem te wspomnienia, gdy na naszych oczach pod naporem startarzonej Moskwy skurczyła się Europa i gdy na Zachodzie wyłania się tendencja do odpisania na straty całych państw i narodów za „żelazną kurtyną”. Nawet niektórzy Polacy nie rozumieją, o co walka się toczy i nie widzą, jak powoli



17. Z. hr. Grocholski, ostatni pan na Pietniczanach

próbuję się zamienić naród w grupę etniczną, którą będzie już łatwo wtłoczyć w ramy imperium rosyjskiego, tak jak wtłoczono wiele innych narodów, okrutnie niszcząc każde ich marzenie o wolności.

Polska i Rosja reprezentowała na terenach Europy Wschodniej dwa różne światy. Słusznie zauważył Mikołaj Sazanow, pisząc na łamach „La Tribune des Peuples” w 1849 roku, że: *Kiedy cywilizacja wschodnia zniszczona została przez najazdy Tatarskie, nauki i sztuki, wszystkie idee postępu i wolności płynęły do Rosji z jednego tylko źródła, mianowicie z Polski, kiedy ta była wolna i niepodległa. Rosjanie, którzy ją podbili, pograżyli w mroki barbarzyństwa, a tym samym mocniej zakuli swe własne kajdany, bowiem podboje jednocześnie wzmacniają i osłabiają władzę absolutną.* Te idee postępu i wolności zagrażały absolutyzmowi carów i dyktaturze komunistycznej. I idei imperium rosyjskiego, którego wielkości miały służyć wszystkie podbite narody. Według recepty Michaiła N. Katkowa, który pisał w 1867 roku, że: *Dwa słowiańskie narody – to czysta niemożliwość. Jeden z nich musi zniknąć, a ponieważ w boju rozstrzyga moc, ona też jest prawem.* Oczywiście Katkow pisał o dwóch narodach, bo Ukraińców, Białorusinów już za narody nie uważał, tak jak Sołżenicyn dzisiaj.

Nasunęły mi się te myśli i wspomnienia, gdy w sześćdziesiątym którymś roku zadzwonił telefon i zapowiedział swą wizytę hrabia Z. Grocholski, który przyjechał z komunistycznej Polski w odwiedziny do syna. Ostatni pan na Pietniczanach, jednej z kolebek w burzliwej historii 12 Pułku Ułanów Podolskich. Człowiek który w maju 1920 roku witał w Winnicy marszałka Józefa Piłsudskiego, dowódcę odrodzonej Armii Polskiej, idącej na pomoc Ukrainie, która podniosła sztandar wolności rękoma Petlury. Więc żyje jeszcze – ogarnęło mnie zdziwienie.

...Gdy stanąłem w drzwiach zobaczyłem dwumetrowego mężczyznę o krzaczastych brwiach i patriarchalnej brodzie. Gerwazy z rysunku Andriollego? Ubrany w szamowaną czarną czamare, w maciejówce na siwej głowie, ze spodniami wpuszczonymi w wysokie buty. Postać wycięta z XIX wiecznej litografii, ze stron jakiejś starej książki. Ożyły jakimś cudem pan kresowy z akwareli Kossaka czy obrazu Szernera. Nie dotknęła go moda XX wieku, ani ponad dwadzieścia lat komunizmu.

Spojrzałem przez jego ramię, by sprawdzić czy przed domem nie stoi bałagulski zaprzęg z kozakiem na koźle.





\*  
\*   \*  
\*

Jako kolejny tom Biblioteki „Wołania z Wołynia” wybrałem książeczkę „*W Zdołbunowie zakwitły kaczeńce*”, gdyż jest ona związana z miastem, które w 1992 roku stało się razem z Ostrogiem i Klewaniem moim pierwszym miejscem pracy duszpasterskiej. W 1995 roku przekazałem tę parafię swemu następcy, ks. Andrzejowi Ścisłowiczowi. W latach 1992–1995 jednakowo traktowałem wszystkie trzy parafie, co nieraz nie rozumieli moi parafianie w Ostrogu.

W Zdołbunowie przeżyłem szereg wydarzeń, które wydaje mi się, że warte są wspomnienia. Przez ponad dwa lata trwały **starania o zwrot budynku plebanii** przy ul. Fabrycznej. Starsze parafianki wydeptywały dróżki do różnych urzędów. W tym samym czasie, gdy zwrot plebanii był rozpatrywany na sesji rady miejskiej parafianki z rekolekjonistą odmawiały różaniec w zakrystii. Zabrakło nam jednego głosu, gdyż wstrzymał się duchowny prawosławny, ale pomoc ówczesnego dziekana łuckiego ks. kanonika Ludwika Kamilewskiego w rozmowach z władzami rejonowymi i przedstawicielem prezydenta Ukrainy w rejonie zdołbunowskim, sprawiła że po pewnym czasie odzyskaliśmy plebanię i rozpoczęliśmy jej remont.

Drugim mocnym przeżyciem, które zapisało się w mej pamięci było **odzyskiwanie głównego wejścia do kościoła parafialnego pw. św. Apostołów Piotra i Pawła**. U drzwi wejściowych do kościoła w okresie powojennym wybudowano wielki pawilon sklepowy należący do firmy handlowej



18. Dawne Gimnazjum im. A. Mickiewicza w Zdobunowie obecnie szkoła średnia nr 5. Fot. Irena Dejneka



19. Rozbiórka sklepu meblowego zbudowanego przed wejściem do kościoła w Zdobunowie (1993). Fot. ze zbiorów ks. W. J. Kowalowa

„Mebel” z Równego. Chociaż władze państwowe zwróciły nam kościół, dłuższy czas ów sklep nadal istniał i firma handlowa nie chciała się usunąć. Tylko z okazji wielkich świąt łaskawie otwierali nam główne wejście. I znów wspaniałe parafianki, nie bacząc na swój wiek i zdrowie, odwiedzały wiele urzędów – zarówno w Zdołbunowie, jak i Równem. Mimo tego nikt nie mógł dać rady tej firmie, która nie uznawała żadnej zwierzchności nad sobą. Ks. Antoni Andruszczyszyn ze Sławuty obiecał mi pomóc i przywieźć swoich parafian by zacząć rozbiórkę sklepu. Ale wymyśliliśmy coś innego, rozebraliśmy boczną ścianę sklepu... Błyskawicznie firma z Równego zabrała swoje rzeczy, ktoś w nocy ukradł płyty żelazobetonowe z sufitu. Ukraiński milicjant narodowości azerbejdżańskiej aresztował mnie w ubraniu roboczym i przesłuchiwał podejrzewając, iż to zrobili moi parafianie. Później okazało się, że uczynił to inny ...milicjant.

W Zdołbunowie – zarówno parafianie, jak i ja – bardzo mocno odczuwaliśmy **duchową obecność i pomoc Sługi Bożego O. Serafina Kaszuby**. Dla mnie osobiście nie jest przypadkiem, że to właśnie w Zdołbunowie zdecydował On o swoim pozostaniu na Wołyniu... Obecna praca kapłanów w tej części Wołynia jest jedynie kontynuacją jego dzieła. To dzięki Niemu zachowały się tu resztki żywego Kościoła, które mogły się tu odrodzić u progu lat. 90 XX wieku.

Dokumentując ułamki z ludzkiej pamięci, wciąż chodzę po śladach tego heroicznego duszpasterza. Jest w tym coś fascynującego, gdy ludzi pamiętających Sługę Bożego O. Serafina spotykam na Wołyniu, w Kazachstanie i w Polsce. W Równem, Ostrogu, Zdołbunowie, Korcu, Sarnach, ale i w Wołyńsku, Kellerówce, a także w Krakowie.

\*  
\*       \*  
\*



20. Obecny proboszcz parafii pw. św. Apostołów Piotra i Pawła w Zdołbunowie, ks. Andrzej Ścisłowicz. Fot. Irena Dejneka (2001)

Z autorem niniejszej książki utrzymuję kontakt listowny od 1993 roku. Na prośbę p. Romualda Wernika swego czasu pomogłem mu zebrać materiały do jego książeczki o Tajkurach pt. „*Tajkury – wioska, która była miastem*” (Caldra House Ltd. – Londyn 1997).

Panu Romualdowi Wernikowi bardzo serdecznie dziękuję za pozytywne przyjęcie mojej propozycji, aby ukazało się drugie wydanie tej książki. Dziękujemy za darmowe udostępnienie nam praw autorskich na niniejsze wydanie. Ukazuje się ono w wersji uzupełnionej. Ufam, iż każdy jej Czytelnik – nie tylko zainteresowany Wołyniem – w tej książeczce pisanej sercem, dość daleko od Zdołbunowa, bo aż w Londynie, odnaj-

dzie wiele interesujących wrażeń i spostrzeżeń. Autorowi pragnę również gorąco podziękować za prezentowanie naszych wydawnictw na lamach londyńskiego „Głosu Emigracji” i stale okazywaną nam przychylność.

*Ks. Witold Józef Kowalów*

Ostróg, 3 listopada 2001 r.

## SPIS ILUSTRACJI

1. Autor w okresie gdy chodził do szkoły Królowej Jadwigi.
2. Młodzież ze Zdołbunowa na wycieczce do Wieliczki w 1935 r. Matka autora trzecia z prawej w górnym rzędzie, za nią autor.
3. Autor na Syberii pod Archangielskiem, 15. VIII 1941. Od lewej: Jan Maciążek, Kazimiera Struzik, Romuald Wernik, Czesława Maciążek, Konstancja Dunalewska, Gomelifarb Motel.
4. Park – widok współczesny (2001). Fot. Irena Dejneka.
5. Kościół pw. św. Apostołów Piotra i Pawła – widok współczesny od strony plebanii (2001). Fot. Irena Dejneka.
6. Plebania w Zdołbunowie (2001). Fot. Irena Dejneka.
7. Widok na Zdołbunów z wieży strażackiej. Na pierwszym planie zniesiona przez władze sowieckie cerkiew, na dalszym kościół katolicki, jeszcze bez wieży, istniejący do dzisiaj. Na horyzoncie widoczne kominy cementowni, a za nimi Góra Kredowa.
8. Na miejscu zniesionej cerkwi wybudowano w latach 90. XX wieku kaplicę św. Apostołów Piotra i Pawła. Fot. Irena Dejneka.
9. Ostróg, widok wzgórza zamkowego. Widoczne: wieża renesansowa, cerkiew zamkowa i pozostałość gotyckiego skarbcza.
10. Ruiny pałacu Lubomirskich i kościół parafialny w Równem. Reprint starej pocztówki wykonany przez Ośrodek „Wołanie z Wołynia”.
11. Litografia Tajkur z XIX wieku, wykonana z rysunku Napoleona Ordy.
12. Kościół w Tajkurach – stan przed wojną.
13. Cerkiew wybudowana przez Peplowskich w Tajkurach.
14. Kościół w Tajkurach – stan obecny.
15. Ppłk M. Mińkowski w okresie, gdy był adiutantem 12 P.U. Podolskich w Białokrynicy na Wołyniu.
16. Buńczuk – koń służbowy ppłk. M. Mińkowskiego w latach 1936–1939. Hodowla A. hr. Ledóchowskiego, majątek Smordwa koło Dubna.

17. Z. hr. Grocholski, ostatni pan na Pietniczanach.

18. Dawne Gimnazjum im. A. Mickiewicza w Zdołbunowie – obecnie szkoła średnia nr 5. Fot. Irena Dejneka.

19. Rozbiórka sklepu meblowego zbudowanego przed wejściem do kościoła w Zdołbunowie (1993). Fot. ze zbiorów ks. W. J. Kowalowa.

20. Obecny proboszcz parafii pw. św. Apostołów Piotra i Pawła w Zdołbunowie, ks. Andrzej Ścisłowicz. Fot. Irena Dejneka (2001).



## SPIS TREŚCI

|                                       |     |
|---------------------------------------|-----|
| Wstęp do II wydania .....             | 7   |
| W Zdołbunowie zakwitły kaczeńce ..... | 11  |
| Do rodzinnego grobowca .....          | 55  |
| Stiepan .....                         | 61  |
| Pojedynek .....                       | 65  |
| Dermań .....                          | 71  |
| Spotkanie z dniem wczorajszym .....   | 77  |
| Posłowie .....                        | 95  |
| Spis ilustracji .....                 | 100 |



## **KSIĄŻKI PIÓRA ROMUALDA WERNIKA:**

*W ZDOŁBUNOWIE ZAKWITŁY KACZEŃCE,*  
AWR, Londyn 1986.

*BIAŁE NOCE I CZARNE DNIE,*  
Polska Fundacja Kulturalna, Londyn 1988,  
II wydanie, Nortom, Wrocław 1995.

*Z CHAMSINU W MGŁĘ,*  
Polska Fundacja Kulturalna, Londyn 1988.

*JUTRO W CZORAJ PRZEGRANE,*  
Unicorn, Londyn 1988.

*PIOŁUNY LOSÓW,*  
Oficyna Wydawnicza „RYTM”, Warszawa 1991.

*BUT POD WELONEM,*  
„Dziennik Polski”, Londyn 1992.

*SMAK MIODU,\**  
Wydawnictwo KURPISZ, Poznań 1994.

*TAJKURY – WIOSKA, KTÓRA BYŁA MIASTEM,*  
Caldra House, Londyn 1997.

*SMAK CHLEBA I POPIOŁU,\**  
Wydawnictwo KURPISZ, Poznań 1997.

---

\* Tytuły oznaczone gwiazdką stanowią tomy Trylogii Kresowej.

*ZŁO NIE TRWA WIECZNIE,*  
Caldra House, Londyn 1997.

*NIE WRÓCĄ BOCIANY NA GRANICZNĄ,*  
Caldra House, Londyn 1998.

*O REALNĄ POLITYKĘ WSCHODNIĄ,*  
SUOZUN, Wrocław 1999.

*HABIT I NAGAN,*  
Atla 2, Wrocław 2000.

*SMAK PIOŁUNU, \**  
Wydawnictwo KURPISZ, Poznań 2001.

## OŚRODEK „WOŁANIE Z WOŁYNIA”

Od 1997 roku Ośrodek „Wołanie z Wołynia” zajmuje się publikowaniem książek wydawanych przez „Wołanie z Wołynia” – pismo religijno-społeczne ukazujące się na Ukrainie od 1994 roku. Wokół pisma skupionych jest kilka osób, które wzięły na siebie trud dokumentowania najnowszej historii i ukazywania aktualnych problemów Kościoła Katolickiego na Ukrainie, ze szczególnym uwzględnieniem Wołynia i diecezji łuckiej. Zainteresowania naszej redakcji obejmują także: sytuację wierzących w społeczeństwach krajów postsowieckich, kontakty katolicko-prawosławne, wysiłki ekumeniczne, stosunki polsko-ukraińskie, kultura i osiągnięcia myśli filozoficznej Ziemi Wołyńskiej, wybitni Wołynianie. Równocześnie z pismem ukazuje się seria wydawnicza: Biblioteka „Wołania z Wołynia”. W latach 1997–2000 wydaliśmy 19 książek.

### ZAPRASZAMY DO WSPÓŁPRACY!!!

Dotychczas nakładem Ośrodka „Wołanie z Wołynia” ukazały się:

#### **T. 1. „Хресна Дорога”, Острог 1997.**

Kilka rozważań Drogi Krzyżowej w języku ukraińskim, m.in. dla dzieci, młodzieży, chorych i do śpiewania.

#### **T. 2. Br. Adrian Wacław Brzózka, „Milczące cienie”, Ostróg 1997.**

Poetycka wędrówka do „nie ludzkiej ziemi”, „wschodniej ziemi”. Świadectwo tęsknoty i osobistych wyznań, smutku, nostalgii, ale

i franciszkańskiej radości. Utwory Brata Adriana to liryczne rozpoznawanie „*swojej drogi do ziemi Kanaan*”, pielgrzymka do ziemi „*w żałobie*”.

**T. 3. О. Ян Попель, „Розмови про молитву”, Білий-Дунаєць 1997.**

Dziewięć refleksji ks. Jana Popiela SI na temat czym jest i jaką powinna być modlitwa w życiu chrześcijanina. Z języka polskiego na ukraiński przełożyła Irena Moroz.

**T. 4. O. Remigiusz Kranc OFM Cap., „W drodze z Ostroga na Kołymę” pod red. ks. Witolda Józefa Kowalowa i o. Józefa Mareckiego OFM Cap., Biały Dunajec–Kraków 1998.**

Wspomnienia i przeżycia kapłana i zakonnika, który w okresie II wojny troszczył się o Polaków w Ostrogu zagrożonych przez nacjonalistów, za co wyrokiem NKWD skazany został na przymusową pracę w kopalniach złota na Kołymie, skąd szczęśliwie powrócił. Interesująca lektura wzbogacona licznymi aneksami, ilustracjami i kopiami dokumentów.

**T. 5. О. Єдвард Станєк, „Педагогічні принципи Вчителя з Назарету”, Білий-Дунаєць, 1998.**

Zbiór cennych rozważań opartych na tekście Ewangelii. Autorem jest ks. Edward Staniek, będący obecnie Rektorem Wyższego Seminarium Duchownego Archidiecezji Krakowskiej. Z języka polskiego na ukraiński książeczkę przełożyła Irena Androszczuk.

**T. 6. Tadeusz Kukiz, „Wołyńskie Madonny i inne obrazy sakralne z diecezji łuckiej”, Biały Dunajec 1998.**

Kolejna pozycja książkowa Tadeusza Kukiza, znanego pasjonata i badacza dziejów kresowych obrazów o tematyce maryjnej, związanych z nimi legend i ich „wędrowek” na Zachód po bolesnych wydarzeniach ostatniej wojny. Książka licząca 212 stron, opatrzona jest licznymi ilustracjami, bibliografią oraz skorowidzami nazw osobowych i geograficznych, będąca swoistego rodzaju przewodnikiem po dawnych sanktuariach Wołynia.

**T. 7. Ks. Witold Józef Kowalów, „Zmartwychwstały Kościół” cz. 1, „Diecezja łucka 1989–1998: odrodzenie Kościoła Rzymskokatolickiego w obecnym dekanacie rówieńskim”, Biały Dunajec 1998.**

W zwięzły sposób zostało ukazane odrodzenie Kościoła Rzymskokatolickiego w obecnym dekanacie rówieńskim (diecezja łucka na Ukrainie). Pierwszą parafią odrodzoną w diecezji łuckiej w 1989 roku był Ostróg nad Horyniem. Obecnie w dekanacie rówieńskim jest 14 parafii.

**T. 8. O. Альбін Яноха OFM Сар., „Отець Серафим-Алоїз Кашуба (1910–1977)”, Білий-Дунаєць, 1999; O. Albin Janocha, „O. Serafin Alojzy Kaszuba (1910–1977)”, Biały Dunajec 1999.**

Krótką biografia Sługi Bożego O. Serafina Kaszuby oparta na dokumentach archiwalnych i korespondencji z kandydatem na ołtarze. Wydanie dwujęzyczne, ukraińsko-polskie. Z języka polskiego na ukraiński książeczkę przełożyła Władysława Krynicka.

**T. 9. Ks. Witold Józef Kowalów, „Ks. Michał Stanisław Głowacki «Świętopełk» (1804–1846). Folklorysta i współorganizator powstania”, Biały Dunajec–Ostróg 1999.**

Biografia jednego z kapłanów, który w latach trzydziestych i czterdziestych XIX wieku na terenie ówczesnej diecezji tarnowskiej podjął pracę nad odrodzeniem religijno-narodowym. Ks. Michał Głowacki przeszedł do historii jako autor pierwszego zapisu i interpretacji legendy o śpiących rycerzach. W wyniku klęski powstania chochołowskiego zmarł tragicznie w nowosądeckim więzieniu.

**T. 10. Ks. Witold Józef Kowalów, „Sursum corda. W górę serca. Wybór artykułów prasowych z lat 1992–1997”, Biały Dunajec–Ostróg 1999.**

Wybór artykułów prasowych wołyńskiego kapłana z lat 1992–1997. Są to artykuły głównie publikowane na łamach „Wołania z Wołynia”, ale także „Radości Wiary” (Drohobycz), „Gazety Lwowskiej”, „Dziennika Kijowskiego”, „Gościa Niedzielnego”,

„Niedzieli” i innych czasopism. Ich najczęstszą tematyką jest odrodzenie Kościoła Katolickiego na Wołyniu i sam Wołyń. Publicystyka religijna. Swego rodzaju przewodnik po najnowszych dziejach diecezji łuckiej.

**T. 11. Krzysztof Kołtun, „Szelest róży”, Biały Dunajec–Ostróg 1999.**

Zbiór kilkudziesięciu wierszy – hołd złożony Św. Teresie od Dzieciątka Jezus, patronce Wołynia. Poetycki ślad jubileuszu 100. lecia śmierci Małej Tereski i ogłoszenia jej Doktorem Kościoła, wydany w 150. lecie śmierci Juliusza Słowackiego.

**T. 12. С. Михайлина Алєкса RM, “Слуга Божий Архієпископ Зиґмунт-Щенський Фелінський (1822–1895). Син Волинської Землі”, Білий-Дунаєць, 1999.**

Biografia wielkiego syna Ziemi Wołyńskiej, Sługi Bożego Zygmunta Szczęsnego Felińskiego, autorstwa s. Michaliny Aleksy, która obecnie pracuje na placówce w Sankt Petersburgu. Z języka polskiego na ukraiński książkę przełożyła Irena Androszczuk.

**T. 13. О. Андрій Зволінський, “Ясько”, Білий-Дунаєць–Остріг, 1999.**

Wstrząsająca historia pewnego młodego człowieka opisana przez młodego kapłana archidiecezji krakowskiej, będącego obecnie profesorem Katolickiej Nauki Społecznej na Papieskiej Akademii Teologicznej. Z języka polskiego na ukraiński książkę przełożyła Irena Androszczuk. Wcześniej ukazał się przekład na język rosyjski.

**T. 14. О. Ієронім Варахім OFM Сар., “Духовний силует Слуги Божого О. Серафима Кашуби OFM Сар.”, Білий-Дунаєць–Остріг, 2000; О. Hieronim Warachim OFM Сар., „Duchowa sylwetka Sługi Bożego O. Serafina Kaszuby”, Biały Dunajec–Ostróg 2000.**

Kolejna dwujęzyczna, ukraińsko-polska, pozycja przybliżająca postać Sługi Bożego O. Serafina Kaszuby, tym razem od strony

duchowej w rodzinie, Kościele i zakonie kapucynów. Autor dokonał refleksji nad szczególnymi cnotami kandydata na ołtarze, nad jego posłuszeństwem, ubóstwem i czystością. Szczególnie wyraźnie widać w postaci Sługi Bożego oddanie się Bożej Opatrzności, kult Matki Bożej i Świętych Pańskich oraz jego pamięć o zmarłych. Z języka polskiego na ukraiński książeczkę przełożyła Władysława Krzywicka.

**T. 15. „Ostróg. Ilustrowany przewodnik krajoznawczy”, Biały Dunajec–Ostróg 2000.**

Coraz częściej różne grupy i wycieczki turystyczne odwiedzają Ostróg i dlatego coraz bardziej dotkliwym staje się brak przewodnika w języku polskim. Zanim powstanie nowy polskojęzyczny przewodnik zdecydowaliśmy wydać reprint przewodnika z 1934 roku, którego wydawcą i nakładcą był dyrektor Gimnazjum Państwowego im. M. Konopnickiej w Ostrogu Tomasz Łysek.

**T. 16. Ks. Władysław Knapiński, „Sprawa o Kościół w Ostrogu na Wołyniu”, Biały Dunajec–Ostróg 2000.**

Reprint pracy ks. prof. Władysława Knapińskiego, późniejszego rektora Uniwersytetu Jagiellońskiego, będącej głosem w obronie katolików obrządku łacińskiego na Wołyniu i zarazem pięknym świadectwem ich przywiązania do Kościoła Powszechnego. Z okazji szczęśliwych narodzin w 1895 roku córki cara Mikołaja II, księżniczki Olgi, zezwolono na odbudowę kościoła farnego w Ostrogu...

**T. 17. Leon Karłowicz, „Nie zostawiajcie mnie tu... Obrazy z życia deportowanych do Kazachstanu”, Biały Dunajec–Ostróg 2000.**

Dramatyczna historia rodziny Kurzydłowskich, która z Wołynia została zesłana do Kazachstanu. Kilka lat poniewierki, śmierć jednego z małżonków i dzieci, walka o przetrwanie w kołchozie na stepie, opisy ludzkich zachowań oraz pięknej i surowej przyrody, składają się na tę wzruszającą opowieść. Na przykładzie tej rodziny można dowiedzieć się o losie tysięcy Polaków zesłanych do Kazachstanu.

**T. 18. О. Иоанн Павел Мухарский OFMСар., „И ты утверждай своих братьев. К Великому Юбилею 2000 года”, Biały Dunajec–Ostróg 2000.**

Syntetyczne spojrzenie na problem podziału i jedności Kościoła. Autor, sędziwy kapłan z zakonu kapucynów dzieli się z nami swoim własnym widzeniem trudnej problematyki dialogu Kościoła Katolickiego z Kościołem Prawosławnym. W latach 1935–1939 pracował w Lubieszowie na Polesiu, po wieloletniej pracy w Polsce i USA, w latach 90. XX wieku powraca na Wołyń i Polesie...

**T. 19. Галина Гандзілевська, „Чекатиму тебе...”, Biały Dunajec–Ostróg 2000.**

Debiut poetycki. Autorka jest reżyserem Teatru Akademii Ostrogskiej i dyrektorem Ośrodka Kultury i Sztuki przy tejże uczelni, śpiewaczką i kompozytorką, przy parafii rzymskokatolickiej w Ostrogu prowadzi chór dziecięco-młodzieżowy. Niekiedy zdaje się, że żyje ona w nierzeczywistym, wymyślonym świecie. Ale kiedy poznajemy go głębiej – okazuje się, że nie ma realniejszego od niego.

**T. 20. Krzysztof Rafał Prokop, „Sylwetki biskupów łuckich”, Biały Dunajec–Ostróg 2001.**

Zbiór szkiców biograficznych wszystkich dotychczasowych pasterzy diecezji łuckiej (XIV–XX w.). Książkę zamyka biogram obecnego ordynariusza (od 1998 r.), bpa Marcjana Trofimiaka. Pozycja ta ukazała się z okazji pielgrzymki papieża Jana Pawła II na Ukrainę.

**T. 21. „Listy z Kozielska burmistrza miasta Ostroga”, Biały Dunajec–Ostróg 2001.**

Wstrząsający zbiór dokumentów i fotografii rodzinnych dotyczących przedwojennego burmistrza miasta Ostroga Stanisława Ludwika Żurakowskiego (1886–1940), zamordowanego przez NKWD w Katyniu. Książkę do druku przygotował jego syn, Stanisław Żurakowski, mieszkający w Londynie.

**T. 22. Ks. Władysław Bukowiński, „Do moich przyjaciół”, Biały Dunajec–Ostróg 2001.**

Wybór spuścizny literackiej ks. Władysława Bukowińskiego, znanego duszpasterza katolickiego na Wołyniu i w Kazachstanie. Na książkę składają się m.in. relacja o Kościele na Ukrainie, „Wspomnienia z Kazachstanu” oraz listy do krewnych i przyjaciół. Pozycja ta ukazała się z okazji pielgrzymki papieża Jana Pawła II na Ukrainę.

**T. 23 „Spotkałem człowieka. Ks. Władysław Bukowiński w pamięci wiernych i przyjaciół”, Biały Dunajec–Ostróg 2001.**

Zbiór świadectw i relacji o ks. Władysławie Bukowińskim, niestrudzonym duszpasterzu katolickim na Wołyniu i w Kazachstanie. Autorami tej książki są Czytelnicy „WzW”, którzy na swej drodze życiowej spotkali tego niezwykłego kapłana. Cechą wspólną zamieszczonych tekstów jest odczucie, iż ów kapłan był osobą świętą.

**T. 24. Krzysztof Kołtun, „Wołyńska litania”, Biały Dunajec–Ostróg 2001.**

Poetycki hołd Matce Bożej czczonej kiedyś przez Wołynian w wielu sanktuariach. Ufna modlitwa do Pana Boga przez wstawienie Matki Najświętszej i świętych patronów Ziemi Wołyńskiej.

**T. 25. Ks. Witold Józef Kowalów, „Szkice z dziejów kościelnych Ostroga i okolicy”, Biały Dunajec–Ostróg 2001.**

Zbiór 10 szkiców historyczno-krajoznawczych dotyczących Kościoła katolickiego oraz jego świątyń w Ostrogu i okolicy. Plon udziału autora w konferencjach naukowo-krajoznawczych „Ostróg na progu 900-lecia” i Ostrogskich Czytaniach Krajoznawczych.





**Romuald WERNIK** urodził się w Zdobunowie na Wołyniu. Ukończył w nim szkołę powszechną, a w 1938 roku zaczął uczęszczać do Gimnazjum Kupieckiego w Równem. W 1940 roku został wraz z rodziną deportowany przez NKWD pod Archangielsk. W 1942 roku wstępuje do Armii Polskiej w ZSSR, stworzonej pod dowództwem gen. Władysława Andersa. Po jej ewakuacji na Bliski Wschód, kończy w Palestynie gimnazjum Junackiej Szkoły Kadetów. Po wojnie studiuje historię sztuki na uczelni angielskiej w Londynie. Bierze udział w życiu społecznym i politycznym emigracji; w prasie polonijnej wielu krajów publikuje artykuły o sztuce oraz komentarze polityczne o stosunkach polsko-rosyjskich i polsko-ukraińskich. Był posłem do Rady Rzeczypospolitej, która spełniała rolę sejmu przy Rządzie RP na Obczyźnie. Od 1990 roku współpracuje z czasopismami w Polsce. Jest autorem pamiętników z pobytu w Rosji i lat wojny, oraz szeregu powieści, przeważnie o podłożu kresowym. Jeden z najbardziej popularnych publicystów polskich w Wielkiej Brytanii, laureat nagrody Fundacji Pułkownika J. Sochackiego. Mieszka w Londynie.

